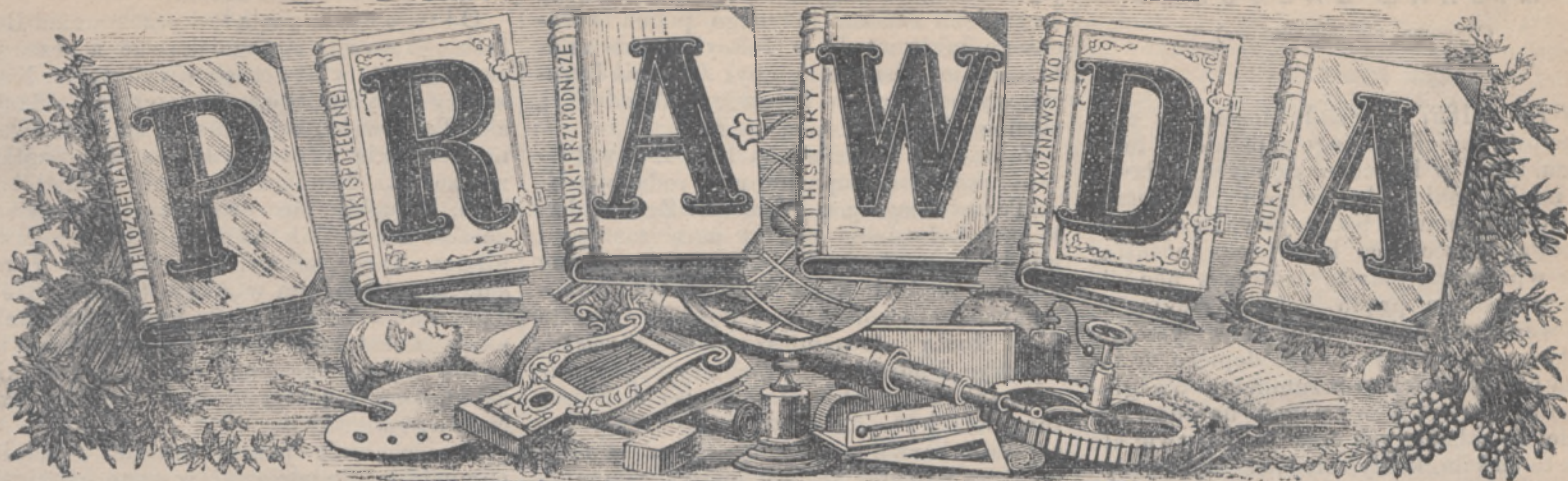
№ 43. Warszawa, dnia 25 (13) Października 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentom, którzy nie zauważyli ogłoszenia naszego w numerze 39 **Prawdy**, donosimy, że dodatek za kwartał III, rozpoczynający dzieło ekonomiczne, będzie przesłany później, w każdym razie niedługo.

EPPUR SI MUOVE...

Nie mógł los bardziej skarać narodów, jak mieszając je z sobą. Nawet przy najlepszej woli przymusowych sąsiadów, powstają ciągle waśnie, nieprzerwane „kwestye," których w żaden sposób z zadowoleniem stron procesujących się rozstrzygnąć nie można. A już łatwiej wszystko doprowadzić do ładu, niż prawa języka, zwłaszcza w szkole. Taką właśnie jątrzącą się ranę nosi w swojem łonie Galicya, chora na zatarg rusińsko-polski. Jak w niej rozpalają się, jak wrą nieprzejednane namiętności; czytelnik dostrzega w korespondencyach. A na nieszczęście nie znalazł się tam dotąd Salomon, którýby pogodził dwie kłócące się z sobą matki. Salomonem takim nie jest ani poseł Romańczuk, ani Dzieduszycki, którzy, wyszedłszy z dwu przeciwnych punktów, spotkali się w żądaniu szerszych i pewniejszych praw dla języka rusińskiego w szkole. Pierwszy z nich — jak to bliżej objaśnia dzisiejsza korespondencya z Galicyi—domaga się utworzenia bądź nowych szkół rusińskich, bądź oddziałów równoległych z wykładowym językiem mniejszości, drugi zaś pragnie zaprowadzić obowiązkową naukę języka rusińskiego w gimnazyach polskich. Ile razy charakter i kierunek wychowania publicznego zależnym jest od wykazów statystycznych, zawsze można być przygotowanym na swary i nadużycia. Tak np. wniosek Romańczuka określa: „Jeżeli szkoła ludowa pobiera zapomogę z funduszów publicznych, to prawo decydowania, który z języków — polski czy ruski — ma być wykładowym, wykonywa gmina wspólnie ze szkolną władzą krajową w ten sposób, iż orzeczenia gminy podlegają zatwierdzeniu szkolnej władzy krajowej. Jeżeli w jakiej miejscowości z ludnością mieszaną — polską i ruską — druga narodowość stanowi co najmniej czwartą część całej ludności, a w miejscowościach z ludnością nad 12,000 (co najmniej 3 tysiące dusz), jest więcej szkół ludowych dla dzieci jednej płci, to przynajmniej w jednej szkole, a jeśli jest jedna tylko z równoległemi klasami, to w tych klasach językiem wykładowym ma być język drugiej narodowości." Jest to dosyć proste i jasne... na papierze. Ale wystawmy sobie owe rachunki, które każda strona będzie usiłowała podrobić na własną korzyść, owe uchwały i zatwierdzenia gmin lub rad — a pojmiemy łatwo, jaka walka toczyć się będzie na gruncie tej ustawy.

Nie żądajmy jednak za wiele, nadewszystko zaś tego, czego życie praktyczne dać nie może. Chociażby ustawa Romańczuka nie zapewniła pokoju i nie zapieczętowała ostatecznie rusińsko-polskiego przymierza w szkole, posunęłaby ona porozumienie daleko, wytworzyła stosunki znośniejsze i... sprawiedliwsze. Niejednokrotnie już mieliśmy sposobność wykazywać, że skargi rusinów w Galicyi nie są całkiem pozbawione podstawy i że słuszność nakazuje polakom poczynić ustępstwa zwłaszcza na polu oświaty. Według bowiem dotychczasowej normy w wielu wypadkach rusini albo nie mieli żadnej szkoły ludowej, albo musieli kształcić swe dzieci w obcej. Zdarzało się to wszędzie, gdzie stanowią mniejszość w gminie. Wniosek Romańczuka zapobiega temu uciskowi mniejszości a zapobiega z równą miarą dla stron obu, otwierając jednakie prawo z rusińską i mniejszej liczebnie ludności polskiej.

Wielką wagę ma także projekt Dzieduszyckiego, żądający przymusowej nauki języka rusińskiego. Jest to doprawdy już bardziej smutnem, niż śmiesznem, ażeby szkoła kształciła dzieci w łacinie i greczyznie, a nie zaznajamiała ich z mową ludu pobratymczego i współżyjącego w jednem państwie. Polak, czytający Cycerona lub Rabelais'go, a nierozumiejący najelementarniejszej książki rusińskiej, jest takim dziwotworem, że tylko w nienawiści plemiennej usprawiedliwienie dla siebie znaleść może. Pomijając względy teoretyczne, sama potrzeba praktyczna zmusza poddanych jednego państwa do rozumienia się. A czy podobna myśleć o jakiemkolwiek porozumieniu się w zasadach politycznych, jeżeli ono nie istnieje w stosunkach najprostszych — w mowie? Słusznie twierdzi *Gazeta polska*: „O ile przez przyjęcie tych wniosków polska większość sejmowa złoży znakomity dowód swoich pojednawczych usposobień dla rusinów, o tyle stworzy ogromnej doniosłości precedens dla uregulowania stosunków narodowościowych samą ważnością ustawodawczego zabezpieczenia praw mniejszości wogóle, gdziekolwiekbądź takowa istnieje, a więc zarówno w stosunkach między czeską a niemiecką ludnością w Czechach, włoską a serbską w Dalmacyi, niemiecką a słowiańską w Styryi lub Karyntyi."

Ale pytanie: czy „większość sejmowa" zechce złożyć ów „znakomity dowód pojednawczych usposobień?" Widząc te „usposobienia" ujawniające się niechęcią lub — co gorsza — niesprawiedliwością w wielu sprawach, nie możemy się pozbyć pewnej obawy. Ale nawet po przegranej, pp. Romańczuk i Dzieduszycki, odchodząc od sądu sejmowego, będą mogli słusznie powtórzyć: „a jednak się porusza..."

MICHAŁ BAŁUCKI.

(Wspomnienie jubileuszowe).

W roku 1857 wydział filozoficzny uniwersytetu jagiellońskiego zapełnił się młodzieżą, która w latach następnych wsławić się miała mniej lub więcej rozgłośnie w dziedzinie nauki, belletrystyki i dziennikarstwa. Wszechnica krakowska pozostawała wprawdzie jeszcze naówczas pod silnym naciskiem prądu germanizacyjnego, jaki wszechwładnie nurtował w systemie politycznym Austryi, mając dopiero w lat kilka ustąpić miejsca rozumnemu uwzględnieniu potrzeb i wymagań narodowych każdej ze składowych cząstek państwa; ale była to chwila, kiedy młodzież, pod wpływem różnorodnych czynników, tem gorliwiej ubiegała się o światło, im skąpiej go udzielano, i tem szczerzej zajmowała się literaturą ojczystą, im więcej napotykała przeszkód w tej mierze.

Przypomnijmy tylko kilka nazwisk dla uprzytomnienia czytelnikowi ówczesnej atmosfery duchowej na wydziale filozoficznym. Szujski, Piliński, Wojciechowski, Piekosiński, Tarnowski, Lubowski, Turski zasiadali wtedy jednocześnie na ławach uniwersyteckich. Młodzież ta po koleżeńsku żyła z uczniami szkoły sztuk pięknych, w której znajdowali się tacy ludzie, jak Grottger, Matejko, Leopolski, Gryglewski. Spółczesne oddziaływanie na siebie kierunków naukowych, literackich i artystycznych musiało się przyczyniać niewątpliwie do wszechstronniejszego wyrobienia myśli, do wytworzenia nader korzystnych warunków rozwijania się ducha młodzieńczego.

Do tego właśnie grona należał także i obecny jubilat, Michał Bałucki, liczący w r. 1857 lat dwadzieścia. Obok studyów uniwersyteckich zajmował się już wówczas literaturą i sam tworzyć zaczynał. W zbiorku jego poezyj znajdują się wiersze, podznaczone datą r. 1858. Jak wszystkie próby poetyckie ówczesnej młodzieży, tak i wiersze Bałuckiego mówiły o „modrych, figlarnych oczętach,“ o miłości częściej zawiedzionej niż szczęśliwej, o snach i marzeniach złudnych. Poezya nasza romantyczna dożywała wtedy jesiennej doby świetności swojej i pociągała ku sobie młode serca urokiem nieprzepartym. Uległ mu i Bałucki i pozostawał pod jego oczarowaniem przez lat kilka. Tworzył wtedy krótkie erotyki i dłuższe opowiadania czy gawędy, wytrwale się borykając z opornym rymem. Pole jego działalności ograniczało się z początku szczupłemi ramami jedynego pisma literackiego, jakie wtedy w Galicyi szersze miało uznanie. Pismem tem był *Dziennik literacki*, wychodzący we Lwowie pod redakcyą znanego Jana Dobrzańskiego.

Z dniem 1 października 1860 r. powstało w Krakowie czasopismo pod redakcyą K. J. Turowskiego p. n. *Niewiasta*. Zgromadziło ono około siebie na lat parę zastęp sił młodych naukowo-literackich, pomiędzy któremi znalazł się też Bałucki. Od drukowanych tu utworów liczą się głównie lata jego służby. A pomieszczał w *Niewieście* i poezye, i powiastki, i rozbiory krytyczne, u nawet rozpoczął w niej „wykład literatury polskiej“—dla czytelniczek. Wszystko to nosiło barwę tego, czem się pierś młodzieńcza napoiła, to jest poezyi romantycznej. Obok zasilania szpalt nowego tego czasopisma, posyłał też Bałucki utwory swoje w dalszym ciągu do głównego ogniska ruchu literackiego w ówczesnej Galicyi, jakim był *Dziennik literacki*, skupiający wszystko, co było wtedy wydatniejszego w literaturze, zarówno ze starszego, jak i z młodszego pokolenia.

Chcąc atoli dokładnie i wiernie wystawić sobie owoczesne usposobienie Bałuckiego, potrzeba pamiętać, że uderzając w strunę marzycielsko-miłosną lub demokratyczną, wcześnie już bardzo zaczął potrącać i strunę ironii. Wpływ Słowackiego, którego uwielbiał, i Heinego, którego tłomaczył, widocznie przyczynił się do wzmocnienia naturalnej skłonności i nadania jej formy.

Jak na innych, tak i na naszego jubilata wypadki r. 1863 podziałały potężnie. W procesie psychicznym człowieka i autora pamiętne miejsce zajmuje szereg szkiców satyrycznych p. n. *Scherzo*, w których poeta-romantyk przyjrzał się światu literackiemu i artystycznemu ze stanowiska Rzeczywistości i, wydawszy okrzyk bólu na widok mas obojętnych i apatycznych, o ile ich interes osobisty nie jest dotknięty, musiał się pogodzić z warunkami swojej działalności i romantyczność zamienić na realizm. Pod względem społeczno-politycznym najznamienniejsze są dwie powieści wydane wtedy pod pseudonimem Elpidona (*Przebudzeni*, *Młodzi i starzy*), które nęcąc powabem owocu zakazanego, dały możność autorowi zaprodukowania szerszej publiczności wielkich już zalet swego pióra: łatwości opowiadania, żywości dyalogu, sarkastyczności dowcipu, oraz jeszcze większych zalet moralnych: gorącej miłości kraju i niezależności zdania.

Od tego czasu poglądy i przekonania Bałuckiego zaczęły się ogniskować a przez to coraz silniej w utworach uwydatniać. Niektórzy koledzy jego uniwersyteccy (Szujski, Tarnowski) zajęli mocno zaakcentowane stanowisko zachowawcze, z początku z pozorami demokratycznymi, później bez nich; Bałucki, nie podzielając ich zasad, znalazł się musiał po stronie ich przeciwników. Tamci szerzyli swe myśli w *Przeglądzie polskim*, on w *Kraju* (1869—1874), dzienniku założonym dla przeciwdziałania akcyi stańczyków. Zresztą w tym czasie utwory Bałuckiego pomieszczały wszystkie czasopisma polskie, niezbyt wyraźnie zachowawcze.

Zaniechawszy poezyi prawie zupełnie, pomysły swoje odziewał w szatę powieści lub komedyi. W obu rodzajach lubo mistrzowstwa nie doszedł, pozostawił wszakże ślady tak wyraźne, że je niechętni nawet widzieć i uznać muszą.

Jako powieściopisarz stał się on wymownym rzecznikiem idei postępowych. Tendencya, skutkiem tego, rozwielmożniła się w jego utworach. Częstokroć tracił na tem artyzm, gdyż autor dla przeprowadzenia swej myśli mniej zważał na subtelne motywowanie wypadków i na budowę całości, lecz zyskiwała natomiast wyrazistość powieści, a więc i wpływ na czytelników. Rozpowszechnienie zdrowych pojęć wśród społeczeństwa użyteczniejszem jest niewątpliwie od rozpowszechnienia cacek artystycznych. Zasługa pisarza mierzyć się u nas musi i teraz i zapewne długo jeszcze w przyszłości nie tyle doskonałością wykonania, ile rodzajem zasad i dążności przezeń szerzonych. Bałucki patrzy jasno, bez krańcowych uprzedzeń na sprawy kraju: nie pała nienawiścią do żadnej warstwy narodu, ani też nie uwielbia bezkrytycznie którejkolwiek z nich. Lubo jest szczerym demokratą, nie maluje klas uprzywilejowanych wyłącznie czarno, z zaślepioną względem nich niechęcią; a miłując klasy upośledzone, broniąc ich interesów, nie myśli bynajmniej ukrywać ich wad i zdrożności. Licząc się z warunkami rzeczywistymi, wśród których żyjemy, nie pragnie zniesienia instytucyj religijnych, ale żądałby, ażeby zamiast fanatyków—ultramontanów znajdowali się księża, coby nie przywiązywali wielkiej wagi do obrzędów, coby odradzali dalekie a bezpożyteczne pielgrzymki, coby, nie piorunując na Darwinów i Comte'ów, wglądali w życiowe po-

---

CALDARIA

przez

M. JOKAJA.

Joanna, żona Filipa Pięknego, króla hiszpańskiego, namiętną była malarką.

Mówiono, że biedna królowa cierpiała na umyśle i skutkiem tego dla rozrywki zalecono jej malarstwo, w którem rzeczywiście do wielkiej doszła doskonałości.

Umiała pochwycić twarz wszelką, nawet po jednorazowem widzeniu, tak wiernie, że poznawał każdy.

Raz Filip przejrzał album, w którem mieściły się rysunki wyłącznie ręką jego małżonki kreślone.

(Joanna wtedy nosiła jeszcze tytuł „królewskiej mości,“ małżonek jej zaś, jako pochodzący z obcego rodu, nazywał się tylko „wysokością“ i w dokumentach urzędowych pisano najprzód: Joanna regina, a potem Filip rex).

Król Filip tedy w albumie Joanny dostrzegł kilkakroć powtarzające się oblicze mężczyzny, przedstawionego w rozmaitych odmianach, już to jako bohater zwycięski, już jako pielgrzym zamodlony, już wreszcie jako wielbiciel klękający przed ukochaną. Oblicze to widocznie żywo zajmowało wyobraźnię młodej donny, skoro je tak często i w tylu kształtach przywoływała sobie na pamięć, a delikatne cieniowanie, staranność artystyczna, namaszczenie, z jakiem wykończony był obraz każdy, wymownie świadczyły, że wśród tej pracy ręce przychodziło z pomocą serce.

Na tych wizerunkach nie było rysów króla Filipa.

Może to jaki sen jeszcze z dni młodości, jakiś trubadur zakochany, jakiś rycerz turniejowy, którego z bijącem sercem młoda królewna widziała, gdy z barwami swej pani u hełmu walczył i zwyciężył, któremu potem drżącą ręką wstęgę haftowaną zawiesiła na szyi i nigdy już o nim zapomnieć nie mogła? Albo może nie. Może to tylko jakiś ideał wymarzony, który w snach swoich wpośród obłoków zdają się widzieć młode kobiety — mężczyzna, którego nigdy nikt nie widział, który nie istniał nigdy. Wszak i to jest możliwem.

Filip Piękny z urodzenia hiszpanem nie był; miał jednak popędy szlachetne, które go czyniły tej nazwy godnym.

Jedno pytanie, zadane wielkiemu inkwizytorowi Dezy, kim w Hiszpanii jest ów rycerz podobny do obrazu, jedno skinienie ku stu okiem szpiegom świętej Hermandady — a po dwóch tygodniach nadeszła odpowiedź. Owym rycerzem o twarzy brunatnej i ściągłej, o ustach dziwnie uśmiechniętych, z dużemi czarnemi oczami, osłoniętemi gęstą czarną brwią — nie był nikt inny, jak Don Jayme d' Avila — marano.

Za czasów sławnej inkwizycyi „marranami“ zwano tych rycerzy maurytańskich, którzy przeszli na wiarę chrześciańską i których podejrzywano, że potajemnie wykonywają obrzędki Islamu. Tępiono ich zwolna, ale ciągle, jakkolwiek stanowili kwiat rycerstwa andaluzyjskiego. Zresztą „marrano“ w języku hiszpańskim znaczy tyle co — świnia.

Być może, że Don Jayme d' Avila niekoniecznie najpodobniejszym był do obrazów królowej; tyle jednak pewna, że był najbogatszym z pośród szlachty ówczesnej, a wiadomo przecież, że dzielni sędziowie inkwizycyi po bratersku dzielili się majątkiem skazanych.

Żył wtedy w Kastylii malarz sławny; sławny nie tyle z tego, że dał początek jakiejś nowej szkole w malarstwie, lub że pozostawił arcydzieła wspaniałe, lecz stąd raczej, że niezmiernie szybko umiał rysować, że w okamgnieniu chwytał najmnie-

trzeby ludu. Zasada zgodności czynów ze słowem, posługiwania się jedynie środkami moralnymi dla przeprowadzenia celu, uduchowienia zabiegów około strony materyalnej życia pielęgnowaniem umysłowych jego czynników—oto myśli naczelne przeprowadzane w akcyi licznych powieści Bałuckiego.

Byłoby jednakże wysoką niesprawiedliwością względem talentu naszego pisarza, gdybyśmy w tendencyi jedynie szukali pobudek uznania dla jego działalności. I artyzm Bałuckiego posiada niemałoważne zalety. Subtelnym psychologiem on nie jest—to prawda; ale jest wybornym obserwatorem, a wiadomo, że dobra obserwacya to podstawa dzisiejszego powieściopisarstwa, niejednokrotnie zastępująca skutecznie analizę psychologiczną: zestawienie dobrze zaobserwowanych faktów daje obraz zrozumiały dla zwykłego czytelnika, a pouczający dla tych, którzy rozbierać wszystko lubią. Stąd to obrazki jego mało są może najudatniejszymi z jego utworów; stąd rysunek postaci zazwyczaj nic nie pozostawia do życzenia. Bałucki jest nadto doskonałym opowiadaczem; narracya jego nigdy nie jest nużąca, a jakkolwiek zachował w niej wiele z przyzwyczajeń dawniejszej szkoły, jakkolwiek przedmiotowość twórcza nie stała się maksymą jego artyzmu, to przecież te szczątkowe objawy nie mają już tu znaczenia dominującego. Siła dramatyczna w układzie sytuacyj oraz cięty dowcip pozwalają autorowi nadać swym opowieściom tę rozmaitość i ścisłość, która pozyskuje sobie i podbija czytelników.

Jako komedyopisarz wykazał Bałucki niezwykły zapas werwy satyrycznej i umiejętności w przedstawianiu sytuacyj iście komicznych. Satyra ta i ten komizm nie sięgają wprawdzie wyższych kręgów życia, lecz się zatrzymują przeważnie na jego poziomie i powierzchni; mają one tę niepowszednią zaletę, iż nie są sztuczne, iż wywołują śmiech szczery i zdrowy z pełnego gardła. Począwszy od *Radców pana radcy* aż do *Gęsi i Gąsek* umiał Bałucki napełnić teatr wesołym rozgwarem i dać chwilę wytchnienia umysłom znużonym i przygnębionym. Budowa sztuk jest zazwyczaj wadliwa, akcya niezawsze bywa umotywowana; charaktery często umyślnie przechodzą w karykatury; koncepty wpadają nieraz w trywialność; trafność atoli pochwyconych rysów, osobistości pojedyncze wybornie skreślone każą — przynajmniej podczas przedstawienia—zapominać o tych ujemnościach. Bałucki wprowadził do teatru kilka charakterów nowych, których dawniejsza komedya nasza nie znała. i to stanowi jego istotną w tym zakresie zasługę.

Bałucki jako dziecko stolicy Jagiellonów zna najlepiej Kraków i jego okolice; tu też jest widownia zwykła powieści, nowel, obrazków i komedyj przezeń pisanych. Ilekroć zejdzie z dobrze znanego sobie gruntu, tyle razy słabną jego zalety twórcze; robi więc to rzadko, rozumiejąc swoją właściwość jako twórcy-obserwatora. Całej nomenklatury tego, co Bałucki w ciągu lat 25 utworzył, przytaczać tu nie będę powiem tylko, że należy on do najpłodniejszych pisarzy naszych, że każdy rok jego pracy zapisał się w literaturze dwoma lub więcej utworami. Pozostaje tylko chyba życzyć i jemu, jako autorowi, i nam, jako czytelnikom, ażeby nie ustając w tworzeniu, doczekał się drugiego jubileuszu. A życzenie takie nie jest czczym wyrazem pamiątkowej uroczystości; będąc w pełni życia i ciesząc się zdrowiem, Bałucki spełnić może świetnie to, czego pragniemy wszyscy i ze względu na myśli, które szerzy wśród narodu, i ze względu na talent, z jakim je przedstawia w kształtach plastycznych.

P. Ch.

Z dziedziny przemysłu.

I.

Zabiegi francuzów o wyzyskanie przemysłu polskiego.

Revue Industrielle w nr. 29 zamieszcza ciekawy artykuł p. n. *Installation de filatures de laine peignée en Pologne.* Jest to wyciąg z raportu przedstawionego ministrowi handlu przez konsula p. M. Boyarda o przędzalniach wełny w Polsce.

„Nieraz już zaznaczano, jak wielki postęp zrobił w ostatnich czasach przemysł polski i jakie korzyści mogłaby ciągnąć Francya, zakładając w Królestwie fabryki.

„Zwracano także uwagę kupców francuskich, że koloniści niemieccy umieli sobie stworzyć w tym kraju stanowisko panujące, zagarnąwszy w monopol wszystkie źródła produkcyjne, których inne narody, niejako na korzyść wyłączną niemców, wyrzekły się. Anglicy spostrzegli to, co prawda, trochę zapóźno, jakie zyski może ciągnąć w Polsce inicyatywa i zmysł przedsiębiorczy i od kilku lat rozpoczęli (?) walkę ekonomiczną z najazdem niemieckim, z której, dzięki obfitości kapitałów i wyższości w sztuce obrabiania, wyjdą niebawem zwycięsko.“ (?).

„P. M. Boyard w raporcie swoim twierdzi, że przemysł francuski może znaleść łatwe i zyskowne zastosowanie w Łodzi, Zgierzu lub Tomaszowie, gdzie się skupia cała produkcya tkanin wełnianych i bawełnianych Królestwa i w których wszystkie prawa fabryki należą do niemców“ (i żydów).

„Wyroby ich nie mogą walczyć z zagranicznymi pod względem gatunku, lecz w kraju i w całej Rosyi znajdują łatwy odbyt z powodu, że są tanie.“

Dalej konsul wypowiada zdanie, że Francya, mając nadzwyczaj biegłych w tej gałęzi przemysłu robotników, mogłaby z łatwością pozyskać przywilej i korzyść zakładania podobnych fabryk, a głównie przędzalni wełny czesanej. Wełna ta bowiem, będąc produktem miejscowym, napojona łojem, wywożona bywa zagranicę, gdzie ulega myciu, czesaniu i przędzeniu, poczem w postaci nici wraca do kraju i służy na wyroby — czysta lub mieszana, naturalnego koloru lub barwiona. Przewożenie to sprawia, że wełna, wracająca do kraju, obciążona jest kosztami przewozu i cła wchodowego, które też, w równej mierze, podnoszą cenę ubrania tak niezbędnego w klimacie surowym i mającym odbyt na jedym z największych rynków, jakim jest Rosya.

P. M. Boyard oblicza na 70 milionów franków ilość nici wełnianych przerabianych na tkaniny w Polsce oraz Rosyi i twierdzi, że przędzalni wełny czesanej jest tylko cztery: jedna w Łodzi, jedna w Sosnowicach i dwie w Moskwie, których produkcya roczna ma wynosić zaledwie 10 milionów fr., z czego wynika, że kraj zmuszony jest pozostałe 60 milionów płacić zagranicy (?) *).

---

*) Tu jednak p. B. mylił się w statystyce: przed założeniem przędzalni sosnowickiej obliczano w Królestwie wartość wyrobu 36 przędzalni na 6,1 miliona rs., a w Cesarstwie wartość wyrobu 67 przędzalni na 5,8 mil. rs., łącznie więc prawie na 12 m. rs, oprócz, powtarzamy, sosnowickiej. Dane te, pochodzące ze statystyki fabryk Orłowa (czyli departamentu handlu i rękodzieł), są mniejsze od rzeczywistych. To też cyfra 10 milionów—w najlepszym razie 2,5 a w najgorszym 4 m. rubli, stosownie do kursu — jest bardzo niedokładna,

---

szniejsze karykatury i w ciągu chwil kilku na pergamin je przenosił. Nazywał się Luis de Lucero, a w Rzymie znanym był pod przydomkiem „Frapresto“ (śpiesz się!).

Skoro król Filip dowiedział się, że odnaleziono pierwowzór owej twarzy zagadkowej, wezwał do siebie Lucera.

— Maestro — rzekł do niego, wypadnie ci wykonać kilka z rzędu wizerunków pewnej osoby żyjącej; przez dwie godziny głowa jej będzie do twojej dyspozycyi; jak sądzisz — ile razy będziesz ją mógł odrysować w tym czasie?

— Tyle razy, wiele wasza królewska mość rozkażesz.

— Nie pochlebiaj. Przedewszystkiem, nie jestem „królewską mością,“ powtóre, nikt artyście rozkazywać nie może. Ale, jak ci się zdaje, czy mógłbyś daną twarz w ciągu dwu godzin naszkicować dziesięć razy? Za każdy szkic otrzymasz tysiąc realów.

— Jeżeli wasza królewska mość za każdy wizerunek raczysz ofiarować mi dwa tysiące realów, w dwie godziny wszelką twarz odrysuję piętnaście razy.

— Dobrze dostaniesz sumę żądaną. Czy wszakże nie zmiesza cię, gdy oblicze, które będziesz rysował, od czasu do czasu się zmieni, nabierze innego wyrazu? gdy zamiast twarzy zwykłej, codziennej, będziesz miał do zwalczenia nadzwyczajną, niepospolitą?

— O, najjaśniejszy panie, oblicze niezwykłe — to studyum, to rozkosz dla artysty! Jeżeli taka przyjemność mnie czeka, podejmuję się po tysiąc pięćset realów za sztukę.

— Dosyć tego. W Eskurialu ze sługami targów się nie prowadzi. Teraz idź do sali alquazilów, którzy za godzinę zaprowadzą cię na miejsce. Do owego czasu zaopatrzą cię w potrzebne przybory rysunkowe.

Po godzinie doręczono Lucerowi ołówki i pergamin, poczem kazano mu wsiąść do zakrytej lektyki. Długo dosyć niesiono go przez głucho odzywające się korytarze, po schodach w górę i na dół, aż wreszcie niosący zatrzymali się wśród przestrzeni, gdzie kroki ich żadnego już nie wywoływały echa. Przestrzeń ta widocznie albo była bardzo niską, albo też wiele w sobie mieściła osób. Tu otworzono drzwi lektyki i kazano mu wysiąść.

Na pierwszy rzut oka artysta zmiarkował, gdzie się znajduje.

Obszerna, w niskich łukach zbiegająca się komnata wokoło powleczona była czarnem suknem. Na pierścieniach przytwierdzonych do filarów wisiały kajdany i powrozy, wszystkie ze śladami owej barwy rdzawej, jaką pozostawia po sobie zaschła krew. Po rogach stosami całymi rozrzucone były kleszcze żelazne, łyżki dziwnego kształtu i śruby trójgraniaste, podczas gdy w głębi na wzniesieniu siedziały postacie jakieś w czarne owinięte szaty. Na głowach miały spiczaste kaptury, a twarze zasłonięte gęstymi woalami.

Całą komnatę oświecała jedna tylko lampa, która zwieszała się ze środka pułapu. Olej napełniający tę lampę na wszystkie przedmioty blado - żółtawe rzucał światło.

Była to sala inkwizycyi.

Tylko wielki inkwizytor miał twarz niezakrytą. Siedział na wysokiem krześle w pośrodku sędziów, a czarny jego strój aksamitny dziwnie odbijał od ich skromnej odzieży.

U jednej ze ścian bocznych stał stół, przy którym siedziało dwu mężczyzn. Jeden był zasłonięty, drugi nosił maskę aksamitną. Pierwszy był notaryuszem inkwizycyi i próbował właśnie pióro na paznokciu, drugi wskazał Lucerowi miejsce za stołem.

Nikt nie mówił ani słowa.

W tej chwili zamaskowany dał znak inkwizytorowi, poczem dwaj słudzy Her-

„Wielkie korzyści — ciągnie dalej *Revue Industrielle*—jakie rokuje zakładanie w Polsce przędzalni pochodziłyby przedewszystkiem z ominięcia cła i zmniejszenia kosztów przewozu. Nadto cena ziemi w Polsce jest niższa od cen krajów zachodniej Europy; woda potrzebna do mycia wełny jest w obfitości, a opał i robotnik niedrogi, zwłaszcza w miejscowościach trochę oddalonych od ognisk fabrycznych. Produkt znajdzie łatwy odbyt we wspomnianych ogniskach przemysłu włóknistego.“

Czysty zysk od kapitału włożonego w takie przedsiębiorstwo oblicza p. Boyard na 42% *). Czy nie za wysoko?

Zamieszczając powyższe streszczenie, winniśmy dodać, że pojawienie się jego w prasie francuskiej nie jest faktem luźnym, jakim było niejedno przedsięwzięcie francuskie. Parę lat temu w Petersburgu spotykaliśmy czasopismo *Le franco-russe*, poświęcone specyalnie zawiązywaniu stosunków handlowych z Rosyą. W czasopiśmie tem dotykane były także sprawy przemysłu i handlu polskiego. Co się stało z tym organem, nie wiemy, to tylko pewna, że go obecnie nie widać. Referat przez nas przytoczony ma znaczenie doniosłe, pozostaje bowiem w związku z innymi faktami życia ekonomicznego obecnej Francyi. Przypominają sobie czytelnicy artykuł nasz w nr. 29 *Prawdy*, gdzie zamieściliśmy odezwę Towarzystwa popierania handlu wywozowego francuskiego — dowodzącą, że dążność umieszczania pracy i kapitałów w obcych krajach jest podejmowaną przez społeczeństwo francuskie nader gorliwie. Obecnie artykuł p. Boyarda jest faktem całkowicie w duchu tej odezwy spełnionym.

Obok tego należy zaznaczyć, że przed półtora niespełna roku utworzoną została komisya specyalna, której zadaniem było wygotować projekt reformy ustawy dla konsulów. Prace jej są dziełem skończonem i oczekują tylko przejścia przez różne instancye parlamentarne, co naturalnie wpłynie na zwłokę w urzeczywistnieniu ich i stanowi powód ubolewania jednostek dbających o powodzenie przemysłu i handlu francuskiego.

Głównym rysem nowego projektu jest to, że nie wymaga, jak dotychczas, dyplomu uniwersyteckiego, lecz zadawala się dyplomem wyższej szkoły handlowej lub nawet trzyletnią praktyką w domu handlowym. Oprócz tego proponuje utworzyć posady *de grands postes d' attachés commerciaux*, zmienić układ dotychczasowych posterunków, rozszerzywszy nowe w Azyi, Afryce i Ameryce południowej, wreszcie doradza utrwalić posady, zamiast przesadzać piastujących je, tak często, jak się to dotychczas zdarzało. Referat p. Boyarda jest też zjawiskiem zupełnie odpowiadającem wymaganiom reformy konsularnej. Kto z nas pamięta w Warszawie barona Finot — ten dopatrzy łatwo różnicę.

Uzupełniając wiadomości o Towarzystwie zachęty handlu wywozowego, możemy donieść, że otrzymało ono znaczną liczbę zapytań od osób zainteresowanych i przystąpiło do zebrania danych za pośrednictwem Izb handlowych prowincyonalnych. Liczy ono na to, że Izby dostarczą szczegółów, na mocy których można będzie sprawdzić kwalifikacye młodzieży, ofiarującej swoje usługi. Te szczegóły, łącznie z wiadomościami, gdzie chce się pewna jednostka umieścić, jaką posiada specyalność, jakie rekomendacye, jakim włada językiem cudzoziemskim — pozwolą zaprowadzić równowagę między zapotrzebowaniem i zaofiarowaniem usług.

Podtrzymując zaś stałe stosunki z konsulami oraz Izbami w koloniach i zagranicą Towarzystwo mieć będzie informacye, wystarczające do prawidłowego rozwoju swojego zadania.

Gdy się przysłuchujemy zdaleka tym wszystkim usiłowaniom, w związku z referatem p. Boyarda, doznajemy wrażenia tych, na których skórze zręczna ręka robi operacye doświadczalne. Pierwszeństwo zdobyli sobie niemcy — im pozazdrościli anglicy, tym znów zazdroszczą francuzi nawołując swoich do „ciągnienia wielkich korzyści“ i „zdobycia monopolu.“ Wszyscy się ubiegają o produkty polskie i na nich pragną zbogacić się. Jedni tylko nie chcą, bo nie umieją — właśnie polacy.

II.

Kolej wileńsko-rówieńska.

Droga ta, o której otwarciu w październiku zapowiadają gazety rosyjskie, dopiero za pół roku oddana będzie całkowicie do użytku publicznego. Telegram do *Now. Wrem.*, który tę zapowiedź mieści, doniósł o przybyciu do Lidy z Wilna pierwszego pociągu (zapewne roboczego). Możemy zapewnić na zasadzie pewnych informacyj, że *otwarcie oddziału północnego (nie więcej) nastąpi aż w końcu grudnia s. s.*, a cała droga ledwo w kwietniu może być użyteczną. To też doniesienia gazet, skracając termin, mają znaczenie reklam, dążących do skupienia jaknajwiększej ilości ładunku w punktach towarowych, które z tej drogi będą korzystały — żeby z otwarciem jej mieć zapewnioną odrazu eksploatacyę. Kolej ta, oprócz znaczenia strategicznego, przewodniczącego projektowi, mieć będzie znaczenie bodźca ekonomicznego dla znacznej przestrzeni Polesia wołyńskiego i litewskiego. Jako zaś interes przemysłowy i współzawodniczy z innemi nie rozwinie się ona, gdyż między tymi samymi dwoma punktami komunikacya istnieje przez Białystok. Według sprawozdania, zamieszczonego w urzędowej części *Dniewnika Minist. Komunikacyi*, przed lipcem budowa już była daleko posunięta. Roboty ziemne skończone, oprócz umocowania brzegów rzek dla zapobieżenia rozlewowi. Szyny były dostarczone w całości, lecz ułożone na przestrzeni tylko 140 wiorst; w stosunku do 604 wiorst toru głównego, z gałęzią od Łunińca do Pińska i torami stacyjnymi, stanowi to ledwie czwartą część. Jeszcze mniej dostarczono balastu dla ostatecznego zasypania toru, bo ze 100 tysięcy sążni sześć. — zaledwie piątą część tej cyfry. Mosty żelazne rozwieziono na miejsca, lecz z 300 tysięcy pudów całej ilości, zebrano i ustawiono tylko 18 tysięcy; podmurowania — dopiero były zaczęte, a mosty drewniane — również. Telegraf najdalej się posunął i działał na przestrzeni

w porównaniu z 12-ma milionami Orlowa (rok 1879) Cztery wymienione fabryki są może głównemi, ale istnieją jeszcze drobne, których można nie liczyć, bądź co bądź jednak, mamy więcej przędzalni, niż wymieniono w artykule.

*) Przypuszczając, że się ma do czynienia z przędzalnią o 10,000 szczotek, pracującą w dzień i w nocy, zużywającą wełnę tylko krajową — kapitał zakładowy wyniósłby podług p. B. 1,600,000 fr., licząc w to kupno gruntu, budynki, motory etc. Kapitał obrotowy—90,000 fr.; razem półtrzecia miliona, czyli rubli dzisiejszych milion (co za wygrana dla cudzoziemców przy obecnym kursie!). Taka fabryka mogłaby wyrabiać rocznie około 320,000 kilogramów, czyli 20 tysięcy pudów nici.

Podług taryfy z 1 lipca 1882 r. cło od kilogramu wynosi 1,82 fr., a dodawszy koszta transportu, otrzymamy, że owe 320 tys. kil. byłyby obciążone przewyżką 640 tys. franków—co zostaje wtedy w kieszeni; licząc zysk na czesaniu po 40 centymów, a na przędzeniu po 50 ct. od kilograma, otrzymamy na obu operacyach za 320 tys. kilogr. około 300 tys. fr. Dodając do tego korzyść ze sprzedaży odpadków i wyczesków, razem wszystko wyniesie przeszło milion fr., co na kapitał 2½ mil. daje procent wyżej wymieniony.

---

mandady wyszli na środek komnaty i podnieśli rozesłany tam całun czarny, pod którym znajdowała się głowa, mająca służyć za model.

Głowa nie odcięta — nie, głowa żyjąca, o pełnem gniewu spojrzeniu, o czole odważnem, ustach pogardę wyrażających i iskrzących się, dużych oczach.

Głowa najpiękniejsza, o jakiej kiedykolwiek marzyła kobieta, przed jaką kiedykolwiek drżał mężczyzna.

Zacny Torquemada, na którego chwałę wspomnieć wypada, że wciągu lat jedenastu sto tysięcy osób poprowadził na ławę torturową, pomiędzy wielu innemi nadzwyczaj pożytecznemi narzędziami, przeznaczonemi do zbadania tajemnic ludzkich, wynalazł i — *caldarię*.

Operacya ta polegała na tem, że duży, dziesięć wiader obejmujący cylinder mosiężny napełniał się olejem i wstawiano weń grzesznika zatwardziałego, tak, ażeby tylko głowa była widoczną. Potem głowę tę przez odpowiedni otwór wsuwano do sali inkwizycyjnej, cylinder zaś sam pozostawał w pracowni, gdzie podkładano pod niego wolny ogień i stosownie do stopnia uporczywości płomień przytłumiano lub rozżarzano, aż olej się rozgrzewał coraz więcej, i ofiara albo się przyznawała, albo umierała.

To była caldaria.

Głowa do studyów tedy znajdowała się w środku sali, w dobrem oświetleniu, wprost lampy. Lucero nie mógłby ustawić lepiej.

Głowa dumnie po zakapturzonych powiodła oczami, a brwi zmarszczone niezmienny wyrażały upór.

Pierwszy to był obraz.

Teraz wielki inkwizytor przemówił do obwinionego.

— Don Jayme d' Avila, wyznaj sędziom twoim, kiedyś poraz pierwszy i ostatni mówił z Joanną, córką Hernandów?

Głowa wydała głos.

— Zawsze ją widywałem zdaleka i nigdy nie mówiłem z nią.

— Don Jayme d' Avila, miałeś z Joanną stosunek zakazany; przyznaj się, jakie masz dowody grzesznej jej miłości?

Przy tych słowach oblicze bohatera zrumieniło się od gniewu, a oczy rzucały błyskawice. W chwili tej pięknym był nad wyraz.

— Pytanie twoje ubliża tej, którą czcić masz obowiązek poddańczy. Sam sobie wydawałbym się zbrodniarzem stanu, gdybym pytanie to uznał godnem odparcia. Królowa czystą jest i niewinną.

Lucero i tę twarz zamierzał odrysować; zakapturzony, co przy nim siedział, pochwycił go za rękę.

— Daj pokój, zaraz coś piękniejszego zobaczysz.

Inkwizytor skinął na dwu oprawców, którzy się oddalili. Niebawem głowa poczęła się zmieniać; podpalono pod nią ogień.

— Teraz spójrz, Frapresto!

Z początku zaiskrzyły się oczy, nabrzmiały żyły na czole; mięśnie twarzowe zadrgały konwulsyjnie; pognębienie trwogi nagłej zeszpeciło piękne, męskie oblicze.

Był to obraz drugi.

— Czy odpowiesz na nasze pytania, don Jayme d' Avila? — znów zabrzmiał suchy głos inkwizytora.

Po tych słowach głowa zwróciła się do niego i, jakby odzyskawszy całą stanowczość swoją, odrzekła z przekąsem:

— Przeklętym niech będzie język, co choć słowem jednem odezwie się na twoje pytania.

Potem głowa ścisnęła usta i z wytrzeszczonemi oczami spoglądała przed siebie, tłumiąc wszelki jęk boleści.

Obraz ten doskonałym był, jako studyum trzecie.

Ogień wciąż rozżarzano.

Na twarz występują dwie krople potu, odzwierciedla się na niej ciężka walka bólu

350 wiorst. Wszystkie zaś budowle — w stanie pierwiastkowego wykończenia, lub nie zaczynane. Domków dróżniczych z ogólnej liczby 340, zbudowano 106. Ze 23 stacyi III i IV klasy wygotowano kilka i warsztaty główne w Pińsku wyszły dopiero z fundamentów, a z dwóch małych jedne działały już na użytek budowy. Tabor ruchowy prawie cały już sprowadzony, niektórych zaś przedmiotów zrobiono zapas na inne drogi poleskie. Wszystkie wagony towarowe kryte pochodzą z fabryki Lilpop-Rau (235), otwarte (632) zebrano z różnych innych dróg. Parowozy (26) w części Malcowa, w części „newskiej“ petersburskiej fabryki. Jak widać, cała budowa wykonywa się z materyałów swojskich i nie posługuje się zagranicznymi.

III.

Złoto ze stali.

Tajemnica przedsiębiorstw osłanianą jest u nas tak starannie, dzięki grzeczności prasy, że potrzeba szukać objaśnień w czasopismach zagranicznych, żeby utworzyć sobie pojęcie o zakresie wielu pierwszorzędnych gałęzi naszego przemysłu. Zamieszczamy tu dane o rozmiarach produkcyi szyn stalowych w Polsce, według notatki, zaczerpniętej przez niemiecki *Organ der Fortschritte des Eisenbahnwesens*, czerpiący ze źródła angielskiego.

Walcowaniem czyli wyrabianiem szyn stalowych w Polsce, zajmują się dwie fabryki: Huta Bankowa koło Dąbrowy i stalownia warszawska na Pradze. Druga założona w r. 1879 według ostatnich wyników techniki, przewyższa zakłady pierwszej.

Od roku 1881 produkcya stalowni warszawskiej prawdopodobnie powiększyła się. Zważywszy, że kolej wileńsko-rówieńska, z gałęzią swoją wynoszącą przeszło 600 wiorst, potrzebuje szyn (z połączeniem ich) około 2¾ milijona pudów, przychodzimy do wniosku, że stalownia mogła w r. 1881 zaopatrzyć prawie całe te 600 wiorst w szyny, a ponieważ w ostatnich kilkunastu latach budowano w państwie rosyjskiem przeciętnie po 1000 wiorst na rok, wypada, że produkcya Huty i Pragi w r. 1881 prawie dorównywała corocznemu zapotrzebowaniu szyn na nowobudujące się drogi całego państwa.

Jeżeli dodamy do tych szczegółów, że drugi rok upływa od czasu, kiedy szczęśliwa firma stalowni warszawskiej weszła w skład spółki, która nabyła w Petersburgu słynne zakłady Putiłowa, gdzie także wyrabiane są szyny, to przyjdziemy do wniosku, że z łona przemysłu polskiego dzięki warunkom handlowym i wogóle ekonomicznym kraju powstało przedsiębiorstwo, posiadające w swem ręku prawie monopol na szyny stalowe dla całego państwa. A prócz stalowych nikt już innych nigdzie nie używa. Gdybyż dobrodziejstwa podobne przemysłu spadały równomiernie na ludność i nie były zdobyczą garstki kapitalistów, w połowie patryotów niemieckich!

A. P.

Z GALICYI.

Lwów, 15 października.

Znaki na niebie i pomieszanie języków w sejmie. — Jak na tem wyszła oświata.—Wniosek Romańczuka.— Jeszcze o „Towarzystwa ochrony własności ziemskiej“ w Limanowej.—Rauty, teatr, odczyty.—Wojc. Dzieduszycki o powieści Sienkiewicza.—Ks. Kalinka o generale Chłapowskim.

„A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić, i zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić...“ Cytując śpiewaka z Czarnolasu, święcę i ja tym sposobem jubileusz jego w kronice mojej. Chodzi mi jednak właściwie o sejm i jego sprawy, do których zrozumienia mózg człowieczy czasami nie wystarcza, zmuszając szukać rozwiązania ciemnych zagadek życiowych wprawdzie nie po za obrębem przyrody, ale w tego rodzaju zjawiskach świata materyalnego, jak zaćmienie księżyca, wylew rzek itp. O, bo dziwne i niesłychane rzeczy dzieją się ostatnimi czasy w sali sejmowej! Że narody napadają na siebie w parlamentach, zjadając się nieraz do szczętu—to rzecz wiadoma nie od dzisiaj; ale żeby łączyły się z sobą w związki tak nienaturalne, tak dzikie, jak to niedawno miało miejsce w naszym sejmie—to już coś nowego, niesłychanego zgoła. Nastało jakieś pomieszanie ludów i języków, i nietylko nie wiesz, z kim mówisz, ale, co gorsza, nie domyślasz się nawet, z kim — trzymasz. Proszę sobie wyobrazić taką sytuacyę: z jednej strony marszałek, naczelnik autonomii, wiedzie do boju stańczyków, stronnictwo rządowe — z drugiej pan namiestnik... Nie, jestem pewny, że nie uwierzycie mi bez zaklęcia... A więc, jak... kogo chcecie kocham, przedstawiciel rządu stanął na czele opozycyi! Można osłupieć — nieprawdaż?

I starły się dwa hufce, ale ani się nie domyślacie pewno, o co pójść mogło, jaka sprawa postawiła w jednym rzędzie wilka z owcami przeciwko lisowi i kurom. O co? A o cóżby tam zaś tak dalece pójść miało, jeśli nie o oświatę, o tę biedną, anemiczną istotę, którą doktorowie krakowscy i podolscy znahorzy kurować zamierzają, poczynając od krwi upustu. Doniosłem już w poprzednim liście, że Wydział krajowy obciął preliminarz budżetu szkolnego na r. 1885, wygotowany z możliwem umiarkowaniem przez krajową Radę szkolną, o niespełna ćwierć miliona, redukując go do trzystu kilkudziesięciu tysięcy złr. Okrojony w ten sposób preliminarz odesłany został wedle regulaminu do sejmowej komisyi szkolnej, złożonej na szczęście z żywiołów postępowych, która też powróciła go do wysokości mniej więcej pierwotnej. W pełnej jednak Izbie wstecznicy znaleźli się w większości i wykreślili z budżetu szkolnego kwotę, stosunkowo ogromną, bo 97,416 złr., a więc blisko piątą część całej sumy. Wypowiedzieli przy tej sposobności piękne mowy znani obrońcy spraw oświaty naszej, młody Stanisław hr. Badeni, członek Rady szkolnej krajowej, który całą swoją pensyę ofiaruje corocznie dla wdów i sierot nauczycielskich, tudzież Romanowicz, redaktor *Reformy* krakowskiej. Ale nadaremnie ścierał się drugi ze stańczykami, a pierwszy ze swoim własnym ojcem (Władysławem, członkiem Wydziału krajowego) — nie pomogła nawet rozrzewniająca scena, gdy po skończonej mowie syn pocałował ojca w rękę, a stary pan rozpłakał się z radości, patrząc na tryumf syna i z oklaskami Izby godząc się pewno w duchu. Pan marszałek postawił na swojem, a stańczykowie zaintonowali hymn zwycięstwa.

Śpiewajcie — ja tymczasem przechodzę do ław ruskich, bo oto powstał poseł Romańczuk i zaczyna mówić. Wniosek, który uzasadnia, dotyczy także szkół, ale rzecz to jest więcej polityczna, niż pedagogiczna. Chodzi rusinom o nadanie ich językowi w szkołach średnich i ludowych większych praw, niż dotychczas. Wedle obowiązującej ustawy o języku wykładowym w szkołach publicznych decydują gminy. Jest to zasada sprawiedliwa bezwątpienia, ale w odniesieniu do gmin o ludności pod względem narodowym jednolitej. Inaczej rzecz się ma z miejscowościami, w których ludność jest

---

fizycznego z wolą męską. Nagle głowa wydaje straszliwy ryk, oczy przymykają się wśród męczarni i podnosząc twarz wykrzywioną, której rysy odrazu ogarnęły cierpienia piekielne, niezdolną jest dłużej ukrywać, co znosi. Ryczała, jak potępieńcy w piekle.

— Teraz, teraz spójrz tam, Frapresto!

Rys każdy występuje ze swego kształtu pierwotnego, dusza traci panowanie nad sobą, oczy błądzą dziko to w jedną, to w drugą stronę, usta pienią się, przeklinają Boga i ludzi! A, Frapresto, jeżeli ci się uda, jakże pięknem będzie studyum czwarte!

Na dole coraz więcej rozdmuchują płomienie.

— Chcesz-że odpowiadać na pytania nasze, don Jayme d' Avila?

Głowa nie odpowiada już, nie krzyczy, ale zaczyna się uśmiechać. Męki śmiertelne zmuszają ją do śmiechu, śmieje się głośno, a śmiech ten okropniejszym jest, niż wszystko.

Lucero rysuje szybko — studyum piąte.

Zakapturzony daje znak, żeby złagodzić ogień. Obawia się, aby Avila nie umarł wprzódy, niż potrzeba.

Twarz stopniowo traci gorączkę katuszy; zamiast niej nabiera barwy bladej, matowej; kurczowo wykrzywione rysy zwolna prostują się, pomimo to widocznie są złamane, zniszczone.

Szósty rysunek Lucera skończony.

Inkwizytor znów pyta:

— Czy odpowiesz, don Jayme?

Na słowa te rycerz powoli podnosi głowę, oczy otwiera tak szeroko, że aż białka są widoczne; blade, bezkrwiste oblicze wydłuża się: nie jest to już twarz człowieka, ale upiora z grobu powstałego. O, straszny to widok!

— I cóż, Frapresto, czemu ołówek spoczywa w twem ręku? Studyum to najbardziej interesujące! Spójrz.

Okropna głowa zaczyna mówić ciężkim, rozdzierającym głosem:

— Filipie! Po siedmiu dniach — ja ci — odpowiem przed Bogiem.

Poczem oczy się przewracają, usta pozostały otwarte, głowa na bok pochyla się i osłabiona kładzie na ziemię; osłupiał rys każdy.

— Zagaście ogień! — zawołał inkwizytor do sług.

— Czyliż nie zajmujące to studyum? — spytał zakapturzony malarza — spokojnie go możesz rysować, bo zemdlał. Zaraz go rozbudzą, potem możemy pójść dalej.

Ale zakapturzony się omylił, gdyż rycerz nie zemdlał, lecz umarł i przestał dostarczać studyów dla Lucera.

— Przeklęty! — wykrzyknął Lucera — umiera przy ósmym obrazie i wykrada mi z kieszeni co najmniej dziesięć tysięcy realów!“

— Nie bój się, za te ośm obrazów dostaniesz całą sumę, bo dobrze ci się udały—pocieszał go zakapturzony. Teraz idź do domu i wypracuj je dobrze, z uwagą.

Po upływie czterech dni szkice były gotowe i wykończone z zadziwiającą wiernością. Filip podarował je wszystkie małżonce.

Piątego dnia rozeszła się wieść po kraju, że królowa Joanna postradała rozum.

Dnia szóstego Filip Piękny kazał zwołać grandów Kastylii i zawiadomił ich o nieszczęściu, że choroba Joanny z całą wybuchła gwałtownością.

Siódmego — grandowie kastylscy Filipa Pięknego nazwali „królewską mością“ i imię jego pisali najprzód, a potem imię Joanny.

Ósmego — Filip Piękny — leżał na marach. Mówiono, że został otruty.

Niechaj Bóg miłościwym będzie sędzią dla tych, co umarli...

Tłom. *Ad. J. C.*

mieszaną. Narodowość, będąca w większości, lekceważy zazwyczaj żądania słabszej, z tego też powodu domaga się p. Romańczuk uwzględnienia mniejszości. W gminie o dwu narodowościach mniejszość, jeżeli wykaże odpowiednią liczbę dzieci szkolnych, winna mieć osobną szkołę, a przynajmniej w głównej szkole klasy równoległe ze swoim językiem wykładowym; co do średnich żąda Ruś, aby na życzenie rodziców przynajmniej 25 dzieci zaprowadzone zostały klasy równoległe z wykładowym językiem ruskim. W zakresie gimnazyów są rusini rzeczywiście pokrzywdzeni. Mają w Galicyi jedno tylko, podczas gdy niemcy 2, a polacy 21. Tymczasem na 24 gimnazyów, biorąc za podstawę liczbę uczniów, powinni mieć rusini 4. Mówił p. Romańczuk wcale umiarkowanie a proponowana przez niego nowela ma za sobą całą słuszność i sympatyę nieuprzedzonych polaków. Równocześnie w sejmie czeskim wniósł projekt podobnej ustawy poseł Kwiczała. Czesi jednak idą dalej, bo żądają, aby *nie wolno* było przyjmować do szkoły dziecka, które nie zna jej języka wykładowego. Obu wnioskom przyświeca przepiękna *zasada ochrony mniejszości*, która jest szczytem wszelkiego równouprawnienia.

Wspomniałem w liście poprzednim o „Towarzystwie ochrony własności ziemskiej" w Limanowej. Zasługuje ono na szczególniejszą uwagę i godnem jest jak najszerszego rozpowszechnienia. Na innem miejscu (w „Głosach pism") podaję przykład działalności tej skromnej, a tak doniosłej w powikłanych naszych stosunkach ekonomicznych instytucyi — tutaj przytoczę kilka cyfr i dat z jej żywota. *Istnieje Towarzystwo limanowskie lat dopiero trzy.* W czasie tym nabyło na własność 10 posiadłości większych i 21 włościańskich, które po uregulowaniu interesów zwróciło już lub zwróci pierwotnym właścicielom. Ziemia przez nie nabyta przedstawia wartość złr. 170,000, Towarzystwo zapłaciło jednak tylko 57,000, gdy zaś ściągnęło już 39,000, ma jeszcze do odebrania 18,000 złr. Prócz tego udzielono pożyczek *na spłatę długów lub podźwignięcie gospodarstw* 50,509 złr., z czego odebrano 16,805, pozostaje zatem jeszcze na pożyczkach 40,704 złr. Nadto wykupiło Towarzystwo w okręgu swej działalności 126 dłużników Banku włościańskiego (dojdzie do 300), zadłużonych na kwotę 30,000 złr., zniżoną później przy likwidacyi na 20,469. Dłużnicy zwrócili już 6,547 złr. *Rozpoczęło zaś Towarzystwo działalność swoją z kwotą 277 złr.*, przez 17 osób złożoną, dziś zaś ma członków 294 i rozporządza kapitałem w kwocie 56,492 złr., mając otwarty kredyt we wszystkich większych instytucyach.

Działa więc „Towarzystwo ochrony" w kierunku dwojakim: udzielaniem pożyczek nie dopuszcza licytacyi, albo też dopuszcza ją w tym celu, aby samo stało się właścicielem zadłużonego gospodarstwa. Po oczyszczeniu zaś majątku z długów zwraca go pierwotnemu właścicielowi. Błogie owoce rodząca działalność jego powinna też zachęcić do naśladownictwa, do czego obowiązanym jest przyłożyć rękę w pierwszym rzędzie „Związek Towarzystw zaliczkowych." a szczerze dopomódz rząd krajowy. Gdyby tak każdy powiat posiadał podobną instytucyę, nie mielibyśmy z pewnością 3.000 co roku licytacyj gospodarstw włościańskich!.

Rautów—choć to sejm teraz a panie posłowe nie na darmo przecież agitowały za swoimi mężami podczas wyborów — mniej jakoś tego roku, albo raczej mniej o nich słychać od czasu, jak *Kuryer lwowski* przestał się zajmować posadzkami salonów. W teatrze „oryginalnie po polsku napisanej" nowości nie było jeszcze żadnej. rozpoczął się zatem szereg odczytów. P. Żaba mówił o metodzie łatwego ugrupowania wypadków dziejowych w pamięci, hr. Wojciech Dzieduszycki o powieści *Ogniem i mieczem*, ks. Kalinka o generale Chłapowskim. Zdaniem przywódcy środka sejmowego. powieść Sienkiewicza nie jest ani rodzajową, ani historyczną; widzi w niej natomiast prelegent wszelkie znamiona poematu bohaterskiego, czemu też przypisuje rozgłos jej niesłychany. Z wyjątkiem jedynego Zagłoby — wszystkie zresztą postacie są nieprawdziwe, czyny ich nadludzkie, nieprawdopodobne, częstokroć cudowne. stąd dla umysłów mniej krytycznych tak—piękne. Hr. Dzieduszycki, który zna Ruś i jej dzieje, twiedzi dalej, że opisy walk naszych z kozakami przedstawione są w świetle fałszywem, że polacy nie dokazywali takich cudów, z drugiej zaś strony kozacy to nie sama dzicz była, a przywódcy ich — opoje. Jarema nie jest zgoła postacią historyczną. Jeżeli uwielbiała go szlachta. to głównie dlatego, że był jej wad wcieleniem. Budowa powieści uległa także lekkiemu opukaniu. Ekspozycya w tomie pierwszym każe się spodziewać innego rozwoju wypadków w tomach następnych — luźność ustępów widoczna. Po za tymi błędami i wadami przyznał zresztą prelegent p. Sienkiewiczowi talent wielki, a powieści — zalety.

Przedmiotem odczytu p. Kalinki była działalność gen. Chłapowskiego do r, 1813, kiedy zawiódłszy się na Napoleonie, wziął dymisyę i opuścił armię francuską. Z prelekcyi tej zanotuję tylko oryginalny pogląd na przyczyny klęski Napoleona. Powszechnie utrzymują, że niesłychane mrozy zmusiły do odwrotu wojska wielkiego cesarza. składające się głównie z południowców. Historyk nasz twierdzi zaś, ze to łupy, brane po drodze w wielkiej ilości, zaciążyły tak nad losami światoborczej armii. Objuczony zdobyczą żołnierz i pragnący wrócić z nią czemprędzej do domu, zdemoralizował się w końcu do tego stopnia, że nie słuchał rozkazów. Owóż i pochód zwycięski z taką armią był wręcz niemożliwym.

Rewera.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

T. T. Jeż **Niezaradni**, Warszawa, 1884.

Z życia szlachty, czyli, jak autor nazwał, *niezaradnych*, wyobraźnia człowieka krytycznie myślącego może wydobyć nieznane w dawnej naszej szkole powieściopisarskiej efekty estetyczne. Jeżowi nieraz się udawało dokazać tego. Posłuchajmy.

Śród jarów podolskich mieszkała sobie rodzina szlachecka. W skład jej wchodzili: mąż, żona. córeczka. siostra. Wygodnie jej było drzemać na materacu pańszczyzny. Głowa rodziny tej, człowiek, któremu nic ująć, nic dodać nie można, przez postawienie żartobliwością swą sąsiada, młodzieńca, chętnie o Krasińskim i sztukach pięknych rozprawiającego, w drażliwem położeniu, zmusza do oświadczyn swej siostrze, pannie, jakich dużo ziemia polska rodzi. Młodzieńczowi jeszcze przedtem wpadła w oko najładniejsza dziewczyna we wsi, Maryna. Uwozi ją, zrywając z narzeczoną w bardzo prosty sposób: przez nietowarzyszenie pannie i braterstwu jej w wycieczce do Odessy po wyprawę. Pani domu, z natury gąsek obywatelskich, uwierzywszy w chytre i pochlebcze spostrzeżenie jakiejś prowincyonalnej śpiewaczki, podejmowanej przez nią gościnnie, że córka ma talent do śpiewu, wymogła na mężu swym pobyt w mieście, potrzebny dla wykształcenia darów Opatrzności. Siostra mężowska, zapłonąwszy miłością do nauczyciela śpiewu, włocha, który naodwrót zapłonął do jej posagu, wychodzi za niego, i odtąd w mieszkaniu z dobrym tonem, przy jednej z modnych ulic Paryża, pędzi żywot świetnymi wieczorami artystycznymi przeplatany. Bratowa tymczasem. skruszywszy do głębi serca męża swego, zamieszkuje także w Paryżu dla dalszego kształcenia córki w śpiewie. Mąż z sił się wybija, jowialność szlachecką traci, a śle pieniądze gwoli szczęścia ukochanego dziecka. Nadeszły smutne dla ziemian czasy: odebrano pańszczyznę, długi prześcignęły wartość majątku, szlachcic głowę stracił, uszy i ręce opuścił, wytrzeszczał ze spokojem filozoficznym, jak się autor wyraża, oczy, kiedy mu dobra jego rodowe licytowano. a później kazano iść na cztery wiatry. Włoch zaś, ukradłszy z kasy banku grube pieniądze, uciekł z niemi. zostawiając żonę a siostrę szlachcica wywłaszczonego w poważnym stanie na bruku. Nacierpiawszy się głodu i chłodu, wszystkie te trzy niewiasty z sercami goryczy pełnemi, za pieniądze przez rodaków-wychodźców dostarczone, wracają do gniazda rodzinnego.

Tyle wątku. co życie rzeczywiste daje. Przejrzyjmy się teraz zamiarom autora.

Młody sąsiad, lubownik artyzmu, uwiozłszy Marynę, nie postąpił z nią tak, jakby setki w jego latach i położeniu społecznem młodzieńców postąpiło. Przeciwnie, odkrywszy w niej prawdziwą zdolność do śpiewu, uszanował w niej *iskrę bożą* i, powściągnąwszy swe żądze, wykształcił kosztem swoim na artystkę modną w sferach plutokratycznych paryskich i przepłacaną. Sam zaś tak się w niej rozmiłował, że aż byłodstawiony do czubków, gdzie pupilka go pielęgnowała. Gdy wyzdrowiał przez wdzięczność (bo wedle zapewnień autora miłość dla sztuki wyparła z niej płciową), wyszła za niego. Przedtem, zbierając wawrzyny i pieniądze, dzieliła się tymi ostatnimi tajemnie z byłą panią i dziedziczką, w nędzy i na bruku obcego miasta zostającą. Wróciwszy do kraju z mężem, odszukuje dziadka swego, co, w rozpaczy po stracie wnuczki, chatę opuścił, a sam na stróża do kołowrotu poszedł. Tu zastaje dziedzica, który zamiast służyć lub kąty krewnych wycierać, przyjęty przez jej dziadka, *niepomne-po krzywd* niegdyś przez pana mu wyrządzonych, podźwignął z ruiny chałupę, siał, orał, młócił, częstom: *pomahaj bih* kmieciem witany. Dalej szan. autor, pochwyciwszy swoją ulubioną ideę współdzielczości, zbawczej równie dla dworu, jak chaty, przenosi w serce wyśnionej przez się postaci, Maryny, własne pragnienia, gdy ta, na objaśnienie dziedzica, iż na komornem u dziadka jej siedzi, powiada: „Postaramy się komorne rozszerzyć z obopólną korzyścią naszą." Potem następuje parafraza tematu szkodliwości rozdzielania na dwa światy żywiołów, któreby łączyć się i przenikać wzajemnie powinny.

Obrazek ten podyktowała autorowi miłość ludu i pamięć, iż ten ostatni był niegdyś pierwiastkiem przez dzieje do kwadratu lub sześcianu warstw wyższych w społeczeństwie podnoszonym. Niezaradność zaś szlachecka, na tytule napisana, uwydatnia się domieszką poprawnego obrazu, czyli żądania.

To są czynniki społeczne w powieści. Estetyczne zaś zasadzają się na jędrnem i humoru pełnem obrazowaniu równie świata zewnętrznego, jak i duchowych wzruszeń. Typy, z wyjątkiem młodzieńca, opiekującego się dziewczyną wiejską, który jest postacią idealną, schwycone są tak, że tkwią w pamięci długo, co świadczy o trafnem skupieniu cech znamiennych. W wielu miejscach analiza psychiczna dopisała autorowi, choćby np. wrażenia doznane pierwszej nocy przez Marynę, co o dworze z opowiadań zaledwie słyszała, przy łóżku rozkapryszonej panienki, w roli pokojówki.

Co do strony literackiej, przyznać trzeba, że język jest barwny i dosadny, a byłby bez zarzutu, gdyby nie rozwlekłość w opi-

sach. Ale to już jest właściwość Jeża. Ogólne wrażenie, wynoszone z przeczytania powieści, jest dobre, nie czujesz uśpienia myśli.

T. Jeske-Choiński **Z miłości**. Opowieść, jakich wiele. Kraków, 1884.

Stare dzieje, w szatę gładkiego, o frazesach zaokrąglonych, języka przybrane. On (inżenier młody), lekkiej myśli, rycersko-polsko-szlacheckiego temperamentu, co to i do *szabli* i do *szklanki*, spotkał pannę, typową u nas w klasie uprzywilejowanej, od strojów, czytania romansów i zabaw. Zakochał się w niej z wzajemnością, i, pomimo przestróg przyjacielskich o potrzebie pamiętania na rzeczywistość, ożenił się. Z nadmiaru miękiego przywiązania do żony narobił długów, ściągnął na się licytacyę ruchomości, wyprawił połowicę do wesołej Polski, żeby się bawiła, bo schła już z nudów w otoczeniu niemców — dusigroszów. Tam pod wpływem namów matki ochłodła do męża; on zaś, przeczytawszy w liście świekry o potrzebie rozwodu, w czasie uroczystości otwarcia drogi żelaznej, rzuca się z konia cwałującego pod lokomotywę i ginie — z miłości!

Cała ta nienowa treść, suto jest poprzewijana moralną nauczką o niewłaściwem wychowaniu obojga płci u nas, przytem czytelnik wciąż musi oglądać się za palcem autora, wskazującym pracowitych i zaradnych mieszczan niemieckich, jako wzory... We wszystkiem czuć wielką troskliwość o formę wdzięczną i miodopłynną, o język, gwałtem w świat rytmów i skandówki się rwący, który na myśl czytelnika działa, jak usypiający szmer strumienia srebrzystego... Czasem tylko, niby wyrzut sumienia autora, ozwie się gdzieniegdzie napomknienie w obrazowaniu, jakaś uwaga fizyologiczna — o *włosach* np. *spalonych gorącem tętnem krwi*. Tem się też tylko wyczerpuje cały realizm.

Zygmunt Komar.

SPÓŹNIONA OBRONA.

P. St. Zalewski, znany w szerszych kołach adwokat tutejszy, rozebrał krytycznie główniejsze punkty smutnej pamięci procesu lipskiego*). Zastanawia się tedy najprzód nad przepisami prawa kryminalnego, na podstawie których Kraszewski został do odpowiedzialności pociągnięty i osądzony, rozpatruje szczegółowo odnośny materyał śledczy, następnie zaś ze stanowiska teoretyczno-praktycznego ocenia akt oskarżenia, obronę i wreszcie sam wyrok. Tekst prawa (§. 92 kodeksu) prowadzi autora do przekonania, że wymiar kar za zdradę kraju wymaga zbiegu trzech okoliczności: 1) istnienia tajemnicy. 2) świadomości o jej istnieniu i 3) wydania jej obcemu rządowi. Fakty znów przez śledztwo wykryte niewątpliwie wykazują, że w czynie, zarzucanym Kraszewskiemu, nietylko zbiegu tego nie było, ale nawet nie było żadnej z wymienionych cech pojedynczo wziętej. Albowiem: 1) korespondencye przesyłane Zaleskiemu nie mieściły ani tajemnic państwowych, ani wiadomości ważnych, któreby dla dobra Związku Niemieckiego (tak się prawo wyraża) w tajemnicy pozostać winny; 2) Kraszewski nie wiedział i wiedzieć nie mógł, iż one noszą taki charakter, skoro charakter ten w wątpliwość podany został przez odezwy do ministra wojny i jego orzeczenia, oraz przez sześciu biegłych w sprawie słuchanych i 3) korespondencye były przesyłane *nie* rządowi francuskiemu, ale Zaleskiemu, a więc osobie prywatnej, co, jako prawem niezakazane, karygodnem nia jest. Nadto, gdyby przypuścić na chwilę, że Kraszewski istotnie był winnym z §. 92 kodeksu, to, wobec uznania przez sąd okoliczności łagodzących i wyraźnej litery tego paragrafu, groziłaby mu kara osadzenia w twierdzy przez miesięcy sześć. A ponieważ ani prokurator aktu oskarżenia, ani trybunał państwowy w zapadłym wyroku tego wszystkiego nie uwzględnił, widoczna, że wyrok ten jest krzyczącą niesprawiedliwością w formy prawne obleczoną. Przyczyny tej niesprawiedliwości p. Z. upatruje najprzód w nacisku, jaki na umysły i wolne zdanie sędziów wywarł głośny list Bismarka, a dalej w serwilizmie sędziów niemieckich, niechęci narodowej, niedokładnej znajomości niemczyzny ze strony Kraszewskiego i nakoniec w wadliwej obronie. Na tę ostatnią szczególniej autor z całą naciera gwałtownością, słusznie podnosząc to, co na korzyść Kraszewskiego należało uwydatnić, a co pan Saul pominął. Wogólności rzecz od początku do końca napisana jest z wielką gruntownością, a miejscami z prawdziwą werwą.

Jest to wszakże, niestety obrona spóźniona.

Książka p. Z. miałaby ważność praktyczną, gdyby mogła wpłynąć na złagodzenie losu sędziwego więźnia lub oddziałać na opinię publiczną w Niemczech. W pierwszym razie musiałaby być ogłoszoną *przed* wyrokiem i popartą osobistemi staraniami w Lipsku, w drugiem, przychodząc po niewczasie, winna była ukazać się w języku niemieckim lub francuskim. Wtedy znalazłaby szerokie pole wpływu i rozpowszechnienie, na jakie niewątpliwie zasługuje. Dziś i w tej postaci obok uznania dla wartości swojej, budzi tylko uczucie żalu z powodu nieszczęścia, którego już cofnąć niepodobna.

C.

*) *Kilka uwag prawnika o procesie Kraszewskiego.* Warszawa, 1884. Str. 132.

KIEDYŻ?

Zgasł, w otchłań wieków zapadł i w gru-
[zach spoczywa
Stary świat... Brzask dziejowy zasnął się
[mgławicą,
Nie lśni pyszny Babilon — Teby — Tyr —
[Niniwa —
Gdzie przemoc i strach — tworzył społe-
[czeństw ogniwa.
A ty, kobieto, byłaś wonczas niewolnicą.

* *
*

Nastała inna doba: rycerstwo ze stali,
Kładąc hełmy powiewne piórami na czoła,
Pędzi do ziemi świętej, na kształt grzmią-
[cej fali,
Niosąc na ustach imię kochanki w oddali
I czci w tobie, kobieto, swojego anioła...

* *
*

Dziś wiek wyzwolin ducha i zenit kultury:
Ludzkość, pono, przestaje błąkać się oma-
[ckiem,
Na widnokręgu prawdy rzedną fałszu
[chmury...
A czemżeś ty, kobieto? — Anioł wdział tur-
[niury,
Pokropił się paczulą i jest — lalką — cackiem!

* *
*

Każdy z odmiennem hasłem, pod innym
[sztandarem,
Wciąż sunie się przez dzieje świata wiek
[za wiekiem...
Więc byłaś niewolnicą, sprzedażnym to-
[warem,
Aniołem, co podbija serca wdzięków cza-
[rem,
Wreszcie lalką, zabawką... a kiedyż czło-
[wiekiem?

Włodzimierz Wysocki.

LIBERUM VETO.

Naszywki starej gwardyi. — Jubileusz Keniga.— Semper idem. — Nowy ogień w starej budowie. — Wieloryb na bezrybiu. — Jedyny dziennikarz polityczny.— Ton i język niesłyszany. — Lekceważący lekceważony. — Matejko nie dostał medalu. — Wielki naród z małemi pobudkami. — Matejko gdy mówi. — Dlaczego Makart, Munkaczy i Doré zwaryowali. — Ruch emigracyjny w Warszawie i kanalizacya na Marsie.— Potrzeba wysłania p. Lindleya z p. Miłoszem.

Stara gwardya literacka zyskuje coraz nowe naszywki lat wysłużonych. Jeśli się nie mylę, Józef Kenig dostaje trzecią — za 25 lat redagowania *Gazety warszawskiej.* Dzienniki zaznaczyły ten jubileusz krótkiemi wzmiankami, tylko przyjaciel jubilata rozpisał się o nim i jego przodkach tak szeroko w *Tygodniku powszechnym*, jak gdyby najdrobniejszy szczegół tego życiorysu był dla przyszłości potrzebnym, a dla teraźniejszości ważnym. Kenig cieszy się w prasie szeroką sympatyą i szacunkiem; jeżeli więc w chwili dla niego pamiątkowej tylko bliski przyjaciel umiał z 25 lat jego pracy wydobyć zasługi publicznej uwagi godne, to widocznie one wyraźnymi śladami się nie zaznaczyły. Istotnie, redaktor *Gazety warszawskiej* żadnego stanowiska w literaturze nie zajął, a nawet jest dość już u nas rzadkim pisarzem bez osobnego bibliograficznego numeru. Jego talent urodził się w gazecie bezimiennie i w gazecie również bezimiennie zginie. Tytuł: redaktor *Gazeta warszawskiej* od r. 1859—84 (itd.) jest jedyną jego literacką rangą. A z rangą tą nie związał się żaden nowy, szczególną ideą odznaczony sztandar. Po Lesznowskim zasiadł do warsztatu Kenig i tkał lepiej, ale według tychże samych tradycyjnych wzorów politykę konserwatywno-szlachecką na użytek domowy, a umiarkowanie liberalną na użytek zagraniczny. Wszystko tu było raz na zawsze ustalone i chyba czasem rozgorączkowane pióro posunęło się dalej w jedną lub drugą stronę. Gdy stosunki kraju skrzepły — skrzepły i opinie pisma idącego utartym torem, wyżłobionym kołami starej szlacheckiej bryki. W łonie dziennika, liczącego dziś już 111 lat istnienia, musiały zachodzić zmiany, zwroty i przewroty dla jego dziejów ważne, ale w oczach ogółu giną one a raczej wiążą się w nieprzerwany łańcuch ogniw, bardzo do siebie podobnych. W r. 1884 świat inaczej wygląda niż w r. 1835—40—50 lub 60, więc i *Gazeta warszawska*, będąca jego cząstkowem odbiciem, także wygląda inaczej, ale to zawsze ta sama spokojna babka z dobrego rodu. Przerabiać niewiastę, która w pewnych formach, przekonaniach, uczuciach i nałogach przeżyła lat 80 kilka — trudno; na takie pokuszenie trzeba było umysłu silniejszego, niż go posiadał Kenig, który w starej budowie rozpalił tylko większy ogień... młodości, do sztywnej rutyny wniósł tylko talent publicystyczny.

Jakiż to był i jaki jest talent? Natura życia naszego nie sprzyja całkiem wyrabianiu się zdolności politycznych nawet w prasie. Są to więc od lat kilkudziesięciu najzwyklejsi wyrobnicy, nieumiejący czasem poprawnie pisać i jedynie znający parę języków obcych dla tłomaczenia gazet niemieckich i francuskich. O specyalistach, którzyby obok talentu posiadali gruntowną wiedzę historyczną i prawno-państwową — nie może być mowy: brak pola usuwa ich

zupełnie. Autorowie t. z. przeglądów politycznycznych rekrutują się u nas trafem: estetyk, dramaturg, fejletonista, rolnik, przyrodnik — każdy jest dobry, który umie zlepiać wyciągi z prasy zagranicznej i niema innego zajęcia. Na takim bezrybiu Kenig stał się rzeczywiście wielorybem, bo, oprócz uzdolnienia dziennikarskiego, miał zamiłowanie do polityki, a dziś, po 25 latach pracy, ma doświadczenie. Studyów rozległych nie zdradza, ale zna doskonale ostatnie ćwierć wieku historyi bieżącej, której kronikę codziennie spisywał. Nie spisywał zaś jej niewolniczo, i o ile sprawozdania, nieczerpane wprost ze źródeł, lecz z drugiej ręki, mogą być samodzielne, on był samodzielnym. Jako odległy obserwator wypadków, obrzuconych światłem gazet zagranicznych, nie mógł nigdy uwolnić się z zależności w swych sądach i bezstronną krytyką ich zupełnie odbarwić; ale objawiał zawsze szczerą ku temu wolę i nieraz udało mu się zobojętnić przed oczami czytelników fałszywe blaski, padające na scenę dramatów i komedyi politycznych. Dzięki temu krytycyzmowi, ograniczonej, ale niewątpliwej samodzielności i chęci przeniknięcia tajemnic, jest on dziś jedynym (znacznie wyższy Klaczko działa na obcym gruncie) dziennikarzem politycznym u nas. Bądź z natury umysłu, bądź z powodu oddalenia od głównej areny i — że tak powiem — całkiem prywatnego charakteru swych wywodów, wpadł w często mu wytykaną i nieraz istotnie zabawną impozycyę. Jeżeli nie największych, to wielkich i głośnych mężów stanu traktował jak żaków, mianował ich głupcami i niedołęgami, słowem zachowywał ten ton i używał tego języka, który energię swych wyrażeń czerpie w przekonaniu, że go interesowani... nie słyszą. Owa wyniosłość, okazywana napotężniejszym tego świata, chociaż po za ich plecami, odbiła się w *Gazecie warszawskiej* i w stosunku jej redaktora do wielu zjawisk życia kraju własnego. Kenig nie umiał nigdy uszanować sił budzących się, młodych i wywołanego przez nie ruchu. Jak to, on, który codziennie dawał lekcye Bismarkom, Gambettom i Gladstonom, miałby ze swej wysokości dojrzeć jakiegoś tam świętojańskiego robaczka w gaju rodzimej poezyi, powieści lub filozofi? Wszystko, co młode, było dla niego karle, dziecinne, niedowarzone, a naturalną logiką rzeczy wszystko, co stare, szanowane i nieporównanie wyższe. Nawet geniusz potrzebuje towarzystwa, więc i Kenig klepał przyjacielsko po ramieniu starych weteranów literatury lub wzdychał za umarłymi, ale żywą młodzież traktował jak surowy archont dzieci hałasujące na placach publicznych. Jego *Gazeta*, która nie żałowała nigdy miejsca dla opisów kradzieży i rozbojów, nie miała go dla najkrótszych notatek o pracach młodszego pokolenia. Kto ją jedynie czytał przez lat 25, ten zna zaledwie kawałek naszego życia umysłowego i to kawałek nienajlepszy. Pewne jego objawy po prostu taiła ona przed czytelnikami, a była tak dalece wrogą dla zdolności młodych, że w niej przez ostatnią ćwierć wieku nie wychował się i nie rozwinął ani jeden talent świeży, co dla każdego redaktora, dla każdego pisma bywa najprzyjemniejszą chlubą. *Gazeta* bowiem, jeśli potrzebowała do swego folwarku ludzi młodych, to tylko młodych parobków, którzyby orali tradycyjnym pługiem wyznaczone zagony. Probował ją odmłodzić naprzód Rzętkowski, a później Kotarbiński (w „Listach ze *starego* miasta —broń Boże z *Nowego* świata!), ale zamknięci (zwłaszcza ostatni) w studyach nad ogródkami teatralnymi wkrótce uciekli, na czem dużo stracili pp. Trapszo z Tokslem. Taką była *polityka* Keniga wobec postępowych żywiołów u nas, która wcale nie zatamowała ich rozwoju a jego zsunęła zupełnie na tyły literatury. Co to za różnica z Jenikiem, który mimo umiarkowania, zrozumiał i ocenił ruch postępowy a częścią go przelał do swego pisma. To też gdy jubileusz redaktora *Tygodnika ilustrowanego* wzbudził serdeczne uczucie i w sferze tego ruchu, jubileusz redaktora *Gazety warszawskiej* nie znajduje tam żadnego sympatycznego odgłosu. Lekceważeni lekceważą — i to z daleko większem prawem. Nie przeczą oni, że Kenig jest najzdolniejszym i najwytrawniejszym a w pewnej mierze jedynym dziennikarzem politycznym u nas, że jego organ zawiera najlepsze z tej niwy sprawozdania, że ze wszystkich pism codziennych dokłada najwięcej starań o czystość i poprawność języka, ale w tych zasługach mieści się cała *Gazety* i jej redaktora wartość.

Na jakiej podstawie pisma warszawskie doniosły, że Matejko dostał w Berlinie medal złoty za *Hołd pruski*—nie wiem. Czytając to doniesienie, uczułem radość podwójną: naprzód dlatego, że uczczony został Matejko, król naszego malarstwa, którego podziwiam, lubię i czczę, dopóki nic nie mówi a raczej dopóki mówi pędzlem — i powtóre — że na taką bezstronność zdobyli się niemcy, których również podziwiam i szanuję, dopóki nie mówią o nas. Tymczasem wiadomość naszych gazet okazała się mylną — Matejko medalu nie dostał. Nad sądem więc artystycznym zwyciężyła nienawiść polityczna. I znowu mi przykro, że naród wielki, jakim niewątpliwie są niemcy, staje się małym fanatykiem i nie umie wzlecieć po nad mizerne swary dla uznania wielkiego geniuszu. Widziałem zbliska naukę niemiecką, widziałem jej arcykapłanów, widziałem myśl tego narodu, pracującą niezależnie od prądów chwili, piłem z jej głębokich źródeł, tem dotkliwszy ogarnia mnie smutek, gdy ona ulega pobudkom niskim.

Powiedziałem, że moje uwielbienie dla Matejki tam się kończy, gdzie on mówić zaczyna. Jest to rzeczywiście niesmacznym żartem natury połączenie w jednej osobie genialnego malarza i dziwnie ciasnych pojęć myśliciela. Każde jego odezwanie się w krakowskiej Szkole sztuk pięknych jest jakiemś marzeniem naiwności. Przed kilku dniami uczęstował on nią znowu swych uczniów. Wspominając o śmierci Makarta i chorobach umysłowych śród mistrzów malarstwa, zadał sobie pytanie, w czem leży przyczyna tego zjawiska. „Nie w czem innem—powiada—tylko w braku.... wiary, na której ludziom tym zbywało, a który to brak w tak srogi mści się sposób. Tak znakomity artysta, jak Makart, który przejmował się epoką renesansu, nie mógł wskutek braku tej wiary stworzyć nic innego nad to, coby tylko zmysły nasze i zmysłowość zadawalało. Pracował jakby w jakiemś odurzeniu, wpierw namalowawszy coś, nim jeszcze pomyślał, co malować zamierza, odzwierciedlał w sobie ten chaos pojęć i brak wiary, którym przepełniona stolica, w której żył, a której był odzwierciedleniem.

Munkaczy malował wprawdzie w końcu Chrystusa przed Piłatem i Chrystusa na Golgocie, ale kto wie, czy nie za te buty węgierskie i wąsy podkręcone, które dorobił na wizerunku Chrystusa przed wielu już laty (na korytarzu Akademii wiedeńskiej) nie dosięgła go nieubłagana Nemezis.

Doré także nie grzeszył wielką wiarą i w życiu hulaszczem szukał podniety, ajednak przecież ci wszyscy artyści, których imiona nie wygasną w dziejach sztuki, pod koniec żywota zwracali się już tam, skąd wyjść byli powinni. I tak Doré ilustruje Biblię i rzeźbi Madonnę z dzieciątkiem Jezus, jego ostatnie dzieło. Munkaczy maluje dwa obrazy, którym Chrystus służy za przedmiot i nawet Makart zmarł przy pracy poświęconej ozdobie gotyckiej świątyni. Widzimy zatem, na czem ci ludzie skończyli, i stąd głęboką dla nas winniśmy wynieść naukę — dlatego wołam do was: *sursum corda.*“ Można być psychologiem bardzo religijnym, a jednak nie przypuszczać, że jedyną przyczyną obłędu umysłowego malarzów jest — brak wiary. To już filozofia czysto krakowska. Gdybym był Matejką, ślubowałbym sobie po za swą pracownią naśladować Makarta, który uparcie milczał i raz zabrawszy głos publicznie, rzekł: „Panowie! Wiecie, że nie jestem mówcą, ale dziś.... Niech żyje cesarz!“ I usiadł. Przyznajmy, że to było mądrzejszem, niż długi wywód, że Makart, Munkaczy i Doré zwaryowali z braku wiary.

W Warszawie objawił się nader ożywiony ruch emigracyjny. Zwłaszcza ludność uboższa porzuca zajęcia, pakuje manatki i wynosi się. Dokąd? Na Marsa. Bez żartów — na Marsa, planetę, jak wiadomo, niezbyt oddaloną od ziemi. *Kuryer poznański* bowiem, a za nim nasze dzienniki doniosły, że na Marsie odkryto wyborną kanalizacyę i wielką obfitość wody. Wprawdzie *Kuryer poznański* w sprawach astronomii jest źródłem nader wątpliwem, strapieni jednak niedostatkiem wody (i od tego zwaryować można) i kanałów warszawianie, nie mogąc poradzić sobie z p. Lindleyem, postanowili opuścić ziemię. Jaką drogą? Otóż właśnie klapnięcie balonu p. Kulikowa przekreśliło ich emigracyjne plany. Sądzili oni bowiem, że gdy p. Miłosz wzleci do góry i wypróbuje skrzydła napowietrznego statku, wychodźcy będą mieli środek komunikacyi z Marsem. Nie cała wszakże nadzieja zginęła: balon wydostał się z cyrkułu a p. Miłosz nie porzucił zamiaru wzniesienia się na nim. Czyżby wszakże nie było lepiej wysłać tam naprzód p. Lindleya, któryby poradził się inżenierów Marsa co do przyspieszenia kanalizacyi w Warszawie? Bylibyśmy braciom z sąsiedniej planety bardzo za to wdzięczni.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Loterya, spadki i koleje żelazne jako dźwignia gospodarstwa.—Podskoki cen przy drodze dęblińsko dąbrowieckiej.—Nadzieja w rudzie.—Odkrycie kaolinu i ałunu.—Ciekawość przemysłowców francuskich.—Wspomnienia o rzezi lasów poleskich. — Skuteczny sposób pokrywania deficytów.—Nowa gałąź przemysłu i przewóz na taryfie pod Tykocinem. — Roznosiciel taniego kredytu.

U nas inaczej...

Tą przyśpiewką Zaleskiego możemy sobie nieraz powtórzyć z rozkoszą, ale nieraz ze smutkiem.

Przeciętnie biorąc, człowiek zagraniczny liczy głównie na skutki swej wytrwałej pracy i z nich muruje sobie podstawę bytu. My kiedyś w życiu politycznem oglądaliśmy się na francuzów, obecnie w życiu ekonomicznem rachujemy na spadki, loterye lub... nowe koleje.

— Mój kochany—upominałem przed paru laty krewniaka, właściciela folwarku—twoje gospodarstwo tak wygląda, jakby po niem przeszli tatarzy.

— Warunki, warunki, och, gdybyś je znał!

— Znam i należycie oceniam, ależ przecie niepodobna na nie wszystkiego składać. Gdy natura wypuściła pierwsze pary ludzkie, było im zapewnie gorzej, niż wam, a jednak oparły się wichrom, mrozom i dzikim zwierzętom. Ty na zająca polujesz przez sześć miesięcy, prześladują go wraz z tobą drapieżne ptaki, psy, lisy, koty, wilki — mimo to on żyje wygodnie i nie ma długów.

— Zobaczysz, jak koło mojego majątku przeprowadzą kolej dęblińsko - dąbrowską.

— A!

Dla ilu próżniaków i marnotrawców ta kolej była ostatnią deską zbawienia, wy-

granym losem, niespodziewanym spadkiem, który ma załatać wszystkie dziury w niedołężnem i lekkomyślnem gospodarstwie! Ten i ów pracować nie chciał, a gdy tonął w kieszeni lichwiarskiej, dojrzał za swemi pustemi stodołami inżenierów, wytykających linię nowej drogi żelaznej. Zbawiony! Bliskie z nią sąsiedztwo musi pokryć wszystkie jego długi, zapłacić za wszystkie jego hulanki i przepróżnowane lata. Kura kosztowała 30 kop.—trzeba teraz za nią żądać rubla. Funt masła z 20 kop. podskakuje na 50 itd. w odpowiednim stosunku. Możnaby tę spekulacyę przebaczyć w imię uprawnionej zasady, która dozwala „drzeć łyka, póki się dadzą" — gdyby jej ruch był ekonomicznie korzystnym i nie narażał wielu na łamanie karku. „Szacunek posiadłości ziemskich (przylegających do kolei dąbrowskiej) — donosi jedno z pism—doszedł tu do nadzwyczaj wysokich cen, wcale nieodpowiednich zastojowi obecnemu w handlu zbożowym." Nastąpiło więc tak zwane odbijanie się. Ale jaki jego proces? Sąsiad drogi żelaznej, przekonany, że złapał Fortunę za poły, podnosi cenę ziemi do kwadratu; ktoś łakomi się na złotodajną posiadłość, przepłaca ją, ale po latach kilku spostrzega zawód, oblicza procent od włożonego kapitału i zaczyna zasilać organa większej własności skargami na trudne warunki i na brak taniego kredytu. Winna temu nie gorączka spekulacyjna, ale kura, która nie znosi złotych jajek, lub żyto, które objawia skłonność ku żołądkom, łaknącym taniego chleba.

Jeśli opieszałego i na łasce losów wiszącego ziemianina zawiodą francuzi, loterye, premiówki, spółki i koleje żelazne, liczy on jeszcze na bogatą... rudę. Od czasu, jak B. Prus zaczął szlachtę budzić ze snu przypuszczeniami, że w jej folwarkach kryją się drogocenne żyły, a zwłaszcza od czasu, gdy *Przegląd techniczny* oraz *Inżenierya i budownictwo* uderzyły w wielki dzwon, nawołujący do poszukiwań górniczych, nie było u nas przez lat parę ani jednego podupadłego obywatela, któryby chociaż kijem swej roli w kilku miejscach nie rozgrzebał, któryby nie myślał, że musi w niej posiadać jakiś „pokład." Odnajdywano też ustawicznie to galman, to ołów, to saletrę, które szybko znikały. Obok wszakże „skarbów niewyczerpanych" przez... humorystykę, obok naiwnych bankrutów, pokładających całą nadzieję w mitycznej „rudzie," rozwinął się niezmiernie ważny popęd do badania istotnych bogactw kraju. Jakoż tu i owdzie znaleziono je rzeczywiście. Ale Kalifornią stał się głównie Wołyń. Do pracowni chemiczno-technicznej *Inżenieryi i budownictwa* w Żytomierzu nadesłano okaz kaolinu, znaleziony w Smołdyrowie, niedaleko Nowogrodu wołyńskiego. Dokonana przez dra Weinberga analiza wykazała, że jest to „przepyszna i w najlepszym gatunku glinka porcelanowa, równająca się co do piękności i dobroci kaolinom francuskim i angielskim." Wypalona z tego materyału porcelana nie ustępuje podobno czystością zagranicznym. Jednocześnie odkryto również na Wołyniu ałun. Nadto pracowni żytomierskiej doniesiono *z Francyi*, że tam wielce jest pożądaną wiadomość o pokładach rudy miedzianej w Polsce o 20—30% czystego metalu, oraz że przemysłowcy francuscy gotowi są dobrze za taki produkt zapłacić. „Ponieważ zaś, jak wiedza geologiczna wskazuje (dotąd widocznie wskazywała nam daremnie), kraj nasz posiada pokłady rudy miedzianej w Kieleckiem i Radomskiem, koniecznem więc jest zbadanie uprzednie, jaki zawierają procent miedzi czystej i czy pokłady jej znajdują się na przestrzeniach, dających gwarancyę korzystnej eksploatacyi. Zanim więc redakcya *Inżenieryi i budownictwa* da wyczerpującą odpowiedź przemysłowcom francuskim, przedsięweźmie pierwej stosowne badania i poszukiwania." No, to i dobrze, że przynajmniej dzięki ciekawości przemysłowców francuskich dowiemy się nareszcie, jaki procent miedzi zawierają rudy kieleckie i radomskie, które nam „wiedza geologiczna" dawno „wskazywała."

Natomiast wkrótce żadna wiedza botaniczna nie wskaże nam, gdzie były lasy poleskie, które już dziś — według korespondenta *Wieku*—„należą do wspomnień." I to niedawnych. „Dziesięć lat temu— powiada on—mieszkańcy Polesia nieraz przez dzień cały musieli przebywać leśne obszary; dziś wiele miejscowości na przestrzeni stu i więcej wiorst nie posiada wcale lasu, a jeśli się gdzie spotka jakie zarośla, to chyba tylko wierzbę, olchę lub karłowate brzozki na łąkach. Lasy rządowe tylko ocalały, a i tych jednak jest już coraz mniej. Koleje żelazne, tartaki parowe, smolarnie i dziegciarnie — wszystko to sprawia, że dęby i sosny nikną jak kamfora. Na opał nie zbraknie drzewa poleszukom, ale na budowle już brak." Bo też odbywa się tam niemiłosierna rzeź przy kolejach i nad brzegami rzek spławnych! Posłuchajmy cyfr. „W r. z. Teterewem spławiono 5640 sążni sześciennych drzewa, dostarczonego z dziesięciu punktów na przestrzeni stu wiorstowej; Prypecią spławiono 4800 sążni, Dnieprem 3210 i Użem około 400 sążni. Ogółem w roku zeszłym spławiono 13.000 sążni sześciennych drzewa opałowego. Dla otrzymania owych 13,000 sążni, według przybliżonego obrachowania, wycięto około 400 dzies. lasu, czyli około 800 morgów nowopolskich." Nie lepiej dzieje się budulcem. „W ciągu r. 1883 takiego drzewa spławiono Teterowem 50,720 sztuk, Prypecią około 37,500 i Użem 9.800 sztuk przeszło. Ogółem spławiono 100,000 sztuk, nie licząc w to łat i kołków, których spławiono przeszło 30,900 sztuk, oraz klepek niespełna 60,000 sztuk, przyczem samym tylko Użem spławiono 54,000. Część materyału powyższego wysłano dopływami Dniepru do Kijowa i dalej, takie zaś gatunki, jak klepki i bale, przez Pińsk do Gdańska i Królewca."

I ziemi trzeba brodę golić — szkoda tylko, że ona tak wolno odrasta!

Niedawno uczciłem tu drakoński okólnik do oficyalistów pewnego pana podolskiego, który najniesłuszniej mógł utkwić w pamięci czytelników *Prawdy* jako upiór. Bo oto *Kuryer codzienny* ukazuje nam sylwetkę drugiego pana podolskiego, który wygląda jak brat syamski poprzedniego. Kasyer cukrowni sprzeniewierzył mu się na kilka tysięcy rubli. Jeżeli w naturze nic nie ginie, dlaczego ma ginąć w kieszeni milionera? Trzeba tylko pomysłu — dosyć prostego: strąca się z pensyi oficyalistów odpowiedni podatek aż do pokrycia deficytu. Kontrybucyi tej ulegają nawet pracownicy świeżo przyjmowani, a wszyscy ją dźwigać muszą pod groźbą utraty miejsca. A, jak wiadomo, przestrzeń dla pracujących mocno się skurczyła. Przyznać trzeba jednak, że pan podolski jest człowiekiem wyrozumiałym: przecież mógłby oficyalistom nakazać pokrycie deficytu odrazu, a on tymczasem rozłożył na raty! Wobec tego humanizmu, czemże jest „nowa gałąź przemysłu" chłopów podolskich, którzy czatują z wołami na powozy i bryki pańskie przy drogach błotnistych i za wyciągnięcie z kałuży żądają po 25 rs?

Korespondentowi wydaje się to za drogo i żąda on taksy. Nie radzę kosztować tak niebezpiecznego lekarstwa, bo zdarzyć się może tak, jak pewnemu fornalowi w Tykocinie. Przybył on — jak opowiadają zgodnie *Echo łomż.* i *Gazeta polska* — do promu, mając dane mu przez pana 40 kop., *podwójną* cenę za przewóz tam i z powrotem. Przewoźnik wszakże zażądał rubla; fornal tyle nie miał, więc wpadł na nieszczęśliwy koncept — odwołał się do — taryfy. Powstał spór, który strony zaprowadził do miasta przed właściwą instancyę. Tu rozstrzygnięto: „kiedy ten cham powołuje się na taryfę, niech że go przewiezie taryfa." Na szczęście ów cham nie jechał po lekarza i zdołał sobie rubla pożyczyć. Czyż taksa chłopów podolskich za wyciąganie powozów z błota wołami na kilkowiorstowej przestrzeni jest wygórowaną? W każdym razie przez błoto, równie jak przez wodę, na taksie przejechać nie można. Dla usprawiedliwienia municypalności tykocińskiej dodać winienem, że stary most — jak upewnia korespondent *Gazety polskiej* — rozebrany został zaledwie przed 12 laty, że na ten cel złożony w Banku polskim kapitał wynosi już około 10,000 rs., że oprócz przewoźnika korzysta z dowolnego tłomaczenia taryfy „ktoś jeszcze." Pewnie miasto!

„Tani kredyt," do którego u nas wzdycha tyle „własności" i który nawet czarodziejskiemi zaklęciami wywoływano z zagranicy, o mało co nie uszczęśliwił Konina. Przed rokiem agent banku magdeburskiego zapytał pewną osobę w tem mieście, czy ów bank nie mógłby tamumieścić swych kapitałów na hipotekach nieruchomości. „Właściciele domów na to, jak na lato." We wrześniu wysłano agentowi 200 marek na koszta przyjazdu. Przybył i otworzył biuro w Koninie. Ale ktoś ostrożniejszy odwołał się piśmiennie do magdeburskiego banku, który odpowiedział, że roznosiciel taniego kredytu nie jest jego agentem, lecz zwykłym, wielokrotnie karanym oszustem. Skutkiem tego deputacya obywatelska udała się do hotelu dla wyegzekwowania 200 marek. Agent, w braku gotowizny, zapłacił dług garderobą, poczem wyjechał spokojnie i może w tej chwili otwiera gdzieindziej „tani kredyt" tym, którym „na to, jak na lato."

A. C.

Spółek wkładowo-zaliczkowych (na wzór stowarzyszeń Schultze-Delitscha) na całej Litwie, Żmudzi i Białorusi—według *Gaz. polsk.* — w r. 1883 było 60. Na $7\frac{1}{2}$ miliona ludności to mało, ale w odniesieniu do warunków—dosyć.

Z Wilna. *Gaz. warsz.* otrzymuje następującą wiadomość o emigracyi żydów litewskich:

„Jeszcze przed paru miesiący, ze wszystkich miast i miasteczek wychodziła tłumnie szlachta jerozolimska, dążąc po za Ocean, w nadziei łatwiejszego zarobku i chleba. Z jednej gub. wileńskiej w przeciągu lat kilku wywędrowało z górą 2,000 izraelitów. Jak ich przodkowie pod przewodnictwem Mojżesza dążyli do Ziemi Obiecanej, tak i teraźniejsze pokolenie żydowskie spieszyło do Ameryki, jako do krainy mlekiem i miodem płynącej. Stamtąd płynęły najpomyślniejsze wieści. Niejeden też izraelita wracał zbogacony z drugiej półkuli, a grając rolę nababa w swem rodzinnem miasteczku, był wymowną zachętą dla drugich. Ciągnęli więc wszyscy do Ameryki, a raczej do New-Yorku, starzy i młodzi, rzemieślnicy i prostaczkowie, uczciwi i oszuści. Aż na raz... wracać zaczęli. New-York okazał się przeładowany żydami. Mnóstwo ich mrze z głodu, nie mogąc dostać pracy i zarobku. Fabryki przepełnione robotnikami. Podobne przeludnienie nastąpiło, jak słychać we wszystkich miastach portowych. W głąb zaś Stanów Zjednoczonych izraelici zapuszczać się nie chcą i nie śmieją. Kolonia izraelska odmówiła protekcyi swej dla nowo przybyłych, rozciągając jaką taką jeszcze opiekę nad tymi tylko, którzy wstąpiwszy na ziemię amerykańską, mogą okazać banknot storublowy w kieszeni. Dla biedaków nie pozostaje nic więcej, tylko wracać co prędzej. Wracają też nietylko ludzie, fachu żadnego niemający, ale i rzemieślnicy uzdolnieni. Widzieliśmy kilku takich biedaków strasznie rozczarowanych i zbiedzonych. Stracili wszystko, co mieli, i w nędzy wracają do pozostałych rodzin, budujących już a conto zarobków amerykańskich świetne zamki — na lodzie."

Moskwa. Firma cukrownicza M. Borysowskiego i synów upadła. Pasywa 9 milionów rs.

— W pasażu Sołodnikowa wybuchł pożar, który zniszczył teatr niemiecki i wiele składów—

ogółem 364 sklepy. Straty wynoszą około 10 mil. rubli.

W powiecie wilejskim wykryto bandę złodziei końskich, na czele której stał karczmarz, działający z miejsca za pośrednictwem ajentów. Po uwięzieniu go, interes ten objęła jego żona, która z nieletnim synem odbywała wyprawy, sięgające aż do powiatów bobrujskiego i borysowskiego. Gdy nareszcie złodziejkę schwytano z koniem, wlała mu butelką truciznę. Biedne zwierzę skonało w okropnych męczarniach, kobietę włościanie związali i odstawili do właściwej władzy. „W drodze jednak — domyśla się *Gaz. warsz.*—musiano zawrzeć jakieś *pacta conventa*, gdyż, jak donoszono nam, żydówka od dni kilku wróciła do domu, i jakby nic nigdy nie było, swokojnie wódką szynkuje.“

Mława. Niektórzy ziemianie pow. mławskiego i ciechanowskiego usiłują zebrać kapitał potrzebny na założenie gorzelni akcyjnej w Konopkach, stacyi drogi żel. Nadwiślańskiej. Myśl tę zrodził zastój w handlu zbożowym, zwracający rolników do przemysłu. Jakkolwiek akcyjna cukrownia w Ciechanowie przechodziła burze, śród których ujawniła znaczną niezdatność naszych ziemian do tego rodzaju przedsiębiorstw, jednakże widać, że przebyte doświadczenia i osiągnięte powodzenia nie przepadły w tej okolicy darmo.

Pułtusk. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę kasy zaliczkowo-wkładowej urzędników powiatu.

Końskie. Niedawno zgorzał, prawdopodobnie z podpalenia, folwark Swoszyce. Sąsiedni obywatele zorali własnemi siłami roboczemi pole właściciela i okazali mu sztachetną pomoc.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 23 października.

Na przedstawioną Izbom francuskim Księgę Żółtą prasa europejska rzuciła się z całym głodem ubogiego w wypadki czasu. Naturalnie nicowaniu ulega głównie korespondencya Courcela z Bismarkiem w przedmiocie wybrzeży afrykańskich. Na obojętnego czytelnika wywiera ona przedewszystkiem wrażenie nadmiernej grzeczności kanclerza niemieckiego: ten szorstki mocarz taki słodki, uprzejmy, gotów do ustępstw! Gazety francuskie bądź (nieprzejednane) wpiły się zębami w pięty Ferrego, który ma zdradzać Francyę, szachrować z wrogiem itd.; bądź też zawołały: „Baczność! Książe Bismark bez interesu tak słów nie gładzi, a gdy jedną ręką podaje cukier, może w drugiej trzyma za plecami maczugę.“ Jeden z dzienników, ministeryalny *Temps* jest po prostu odurzony zręcznością tego człowieka, który rozbił Austryę i wkrótce przywiązał ją do siebie najściślejszym stosunkiem, który zdruzgotał Francyę i dziś, kiedy nikt o tem nie śmiałby pomyśleć, przyciągnął ją ku sobie. Z drugiej strony nawet w proponowanym układzie co do stosunków afrykańskich prasa francuska, na podstawie Księgi Żółtej, wykazuje, że p. Courcel jest owym stryjkiem, który chce oddać siekierkę za kijek, że Francya poświęciłaby swobodę handlu swoich kolonij już istniejących za korzyści w nieistniejących — niemieckich. Dużo w tem tłomaczeniu jest naturalnej podejrzliwości, ale przyznać trzeba, że Ferry, idąc na lep, troskliwie się ogląda.

Zapasy z Chinami zatamowały się na chwilę. Minister wojny doradza formalne wypowiedzenie wojny, które ułatwi wojskom działalność. Rzeczywiście jest to bijatyka szczególnego rodzaju: armie dwu państw walczą a ich rządy jeszcze sobie nic o tem nie powiedziały.

Ks. Bismark przygotowywa się do nowej operacyi, którą niewątpliwie wykona ze zwykłą sztuką. W Sibillenort na Szląsku zmarł bezpotomnie książe brunświcko-lauenburski, Wilhelm. Prawowitym następcą jego jest książe Cumberland, syn wygnanego przez Prusy w r. 1866 króla hanowerskiego. Ponieważ pretendent musiałby się zrzec tronu ojca, czego dotąd nie uczynił, więc powstało pytanie, czy pójdzie za przysłowiem: lepszy wróbel w ręku, niż szczygieł na sęku. Ale kanclerz niemiecki zdaje się niedługo uwolni brunświczan od tej niepewności, gdyż *Nord. Allg. Ztng.* napomknęła, że rząd pruski niema wcale interesu wskrzeszać gdziekolwiek linię Welfów. Uczucia partykularystyczne nie wygasły w Niemczech i nieraz objawiają się bardzo żywo; wobec wszakże przewagi, jaką Prusy wywierają nad całą Rzeszą, czy będzie Cumberland, czy namiestnik cesarski — to na jedno wyjdzie. Teoretycznie załatwił już tę sprawę dawno historyk Treitschke, który dowiódł (on wszystkiego dowieść umie), że po przyłączeniu Hanoweru wszystkie jego prawa dynastyczne przeszły na Prusy.

Znany czytelnikom naszym adres Izby węgierskiej i drażliwe tłomaczenie jego osnowy pobudziły Tiszę do nowych objaśnień w sprawie stosunku trzech sąsiednich mocarstw. Według niego, pomiędzy Austryą a Niemcami istnieje traktat, zobowiązujący do utrzymania pokoju. Skutkiem tego oba państwa uważały za stosowne rozszerzyć swój wpływ w tym kierunku i wciągnęły weń Rosyę. Zjazd skierniewicki nie zakończył się żadną umową piśmienną, ale ustnem porozumieniem i wymianą myśli trzech rządów.

Mimo, że mu brak do tego potrzebnych chęci, klerykalne ministerium belgijskie myśli o możliwości ustąpienia i wygląda jak niedźwiedź tańczący na rozpalonej blasze. Dopóki bowiem opozycya przeciw niemu wcielała się w manifestacye uliczne, mogło ono ją lekceważyć; ale gdy w wyborach do rad gminnych olbrzymią większością zwyciężyli liberalni, utrzymać się w takiem położeniu trudniej. W wyborach tych naród, chwilowo zdurzony, wypowiedział stanowczo swoją wolę, że nie chce mieć w rządzie ultramontanów. Bądź co bądź, panowanie ich długiem być nie może.

Wnioski Romańczuka i Dzieduszyckiego w sejmie lwowskim, o których piszemy na innem miejscu, można uważać za pogrzebane. Pierwszy odesłano do wydziału krajowego, który ma „należycie zbadać stosunki“. Rzecz dziwna, że posłowie galicyjscy nie mieli dotąd czasu na takie badanie. Nie sądźmy o nich tak źle; wiedzą oni dobrze o owych „stosunkach“, ale polityka wymaga zwłoki przynajmniej do czasu, dopóki już wszystkie wykręty nie pomogą. Naturalnie jest to interes polityki krótkowidzącej, która zbiera korzyści dnia dzisiejszego, nie dbając o jutro.

Lwów. Sejm przyjął wniosek Al. Potockiego co do zniżenia taryf na kolejach żelaznych.

— Mimo oporu namiestnika sejm przystąpił do obrad nad wnioskiem Hausnera, żądającym zmiany statutu kolejowego.

Zagrzeb. Na posiedzeniu sejmowem stronnictwo Starcewicza wywołało nową awanturę skutkiem uwagi prezesa, że adres tej partyi zawiera wyrażenia obrażające cesarza.

Konstantynopol. Sułtan zatwierdził Joachima IV na patryarchę ekumenicznego.

Rzym. Ogłoszenie encykliki papieżkiej w sprawie liberalizmu odroczono. A już liberalizm był w strachu!

Kair. Zniesienia armii egipskiej zaniechano.

Paryż. Courbet ogłosił wszystkie porty Formosy w stanie blokady.

Niżnyj Nowgorod. Sąd wojenny wydał wyrok w sprawie o pogrom żydowski w Kunawinie. Z 72-ch oskarżonych skazani: 11 za morderstwo do robót ciężkich na termin od 7—20 lat, 1 za rozbój na 4 lata zesłania do oddalonych miejscowości Syberyi, 28 do robót aresztanckich na termin od 1—3 lat, 16 do więzienia na termin od 2—6 tygodni, 5 na areszt od 2—3 miesięcy, resztę uniewinniono.

GŁOSY PISM.

Sprawozdanie „Towarzystwa ochrony własności ziemskiej w Limanowej“ (w Galicyi) zawiera następujący przykład do naśladowania:

„Gospodarstwo Karola Daniela w Laskowej, składające się z 44 morgów ziemi i nowych zabudowań, wystawili żydzi na publiczną licytacyę za długi i nabyli je sami za cenę 1200 złr. Towarzystwo limanowskie postarało się o unieważnienie tego kupna, a na licytacyi powtórnej nabyło całe to gospodarstwo za sumę 1,500 złr. Z doliczeniem kosztów, stempli i prowizyi własnej uwięziło w niem Towarzystwo łączną sumę 1662 złr. Odprzedało jednak zaraz $10^3/_4$ morga za 1175, poczem Daniel został winien już tylko 487 złr.

Pozostałe 33 morgów z budynkami oddano mu w dzierżawę na lat 5, w ciągu których dług powyższy z procentem po 8 od sta zobowiązał się spłacić. Spłacił dotąd już 4 raty półroczne (po 58 złr.), spłacić ma jeszcze rat takich 6, czyli ciąży już na całem gospodarstwie jego dług tylko 351 złr., który gdy uiści, otrzyma napowrót swoje gospodarstwo, co najmniej 3000 wartujące, o 10 morgów wprawdzie zmniejszone, ale oczyszczone z długów zupełnie.“

Zważmy jeszcze jedną okoliczność, towarzyszącą *umiejętnemu* niesieniu pomocy, na którą rzadko uwagę zwracać się zwykło. „Karol Daniel — kończy sprawozdanie — wprzód lekkomyślny i próżniak, po smutnem doświadczeniu stał się gospodarzem tak pracowitym, pilnym, porządnym, że go za wzór innym stawić można.“ Ochroną od ruiny majątkowej można w ten sposób przerobić lekkomyślnika, czy leniwca na dzielnego i prawego obywatela.

O instytucyę, podobną limanowskiemu Towarzystwu, postarać się winno przedewszystkiem Poznańskie.

Nowoje Wremia, powracając do sprawy biskupa żytomierskiego, który ukarał ks. Morawicza za przyjęcie w kościele metropolity kijowskiego, powiada:

„Biskup katolicki jest osobą nietykalną, można go tylko wysłać z obrębu dyecezyi, ale środek to oczywiście zbyt skrajny i ostry, aby ktokolwiek mógł życzyć sobie jego zastosowania. Tak mówiono, ale dziś dowiadujemy się, że władza ma w swoich rękach jeszcze inny sposób powstrzymywania w granicach rozsądku przestawicieli kleru katolickiego, naruszających zbyt nietaktownie spokojność i pokój z państwem rosyjskiem: biskupowi rosyjskiemu, jak słyszeliśmy, za beztaktowność i podniecanie rosyjskiej opinii publicznej umniejszono do połowy pensyę, pobieraną ze skarbu. Dotąd, podobnie jak i inni biskupi, pobierał on 4,480 rs.. odtąd zaś będzie pobierał tylko 2,240 rs. rocznie. Państwo płaci, a zatem ma zupełne prawo oceniać swoje sługi według zasług każdego. Kara podobna, dotkliwa i dla kieszeni i dla miłości własnej, przywróci może ponickąd zatraconą dyscyplinę w stosunkach wyższego katolickiego kleru do władzy centralnej i do rosyjskiej opinii publicznej.“

Petersb. Wiedomosti, zastanawiając się nad żądaniem dyecezyi wileńskiej, ażeby uczniowie katolicy nie uczęszczali w dni galowe do cerkwi, lecz do kościołów, grzmią:

„Dzięki historycznym i innym warunkom, katolicyzm w Rosyi jest nieoddzielny od polskości, a wielokrotne doświadczenie powinno nas było

przekonać, że sprawa polska nigdy nie zadowoli się żadnemi ustępstwami i tem wyżej podnosi głowę, im więcej jej się rozwiązują ręce. Dlatego też zdawałoby się koniecznem, zaraz, przy pierwszym kroku, okazać z właściwą stanowczością, że nie należy spodziewać się żadnego pobłażania dla przesadnych roszczeń wojującego polskiego katolicyzmu i że rząd rosyjski pozwala korzystać z konkordatu z Rzymem, jako ze sposobu uspakajania i jednania, nie zaś jako z narzędzia rozterki i wyzywań."

ROZRUCHY W UNIWERSYTECIE moskiewskim.

(Sprawozdanie urzędowe).

„Do ostatnich czasów na uniwersytecie moskiewskim panował najzupełniejszy porządek. Dopiero dnia 2-go (14-go) b. m. rektor dowiedział się, iż wśród studentów i obracających się między nimi nieznanych młodych ludzi powstaje wzburzenie, podniecane przez przewrotne tłomaczenie smutnych wypadków kijowskich, oraz że agitatorzy urządzają na godzinę 2-gą po południu schadzkę w ogrodzie uniwersyteckim. Zarządzono natychmiast środki stosowne dla zapobieżenia temu. Rektor otrzymał także wiadomość o powziętym przez agitatorów występnym zamiarze wybicia szyb w drukarni uniwersyteckiej (*Mosk. Wiedomosti*). Nadto w bibliotece znaleziono na podłodze proklamacyę do studentów, której treść sama świadczyła, iż odezwa ta nie mogła pochodzić z ich grona. Około godziny 2-ej zaczęły się ukazywać w ogrodzie uniwersyteckim różne osobistości, po większej części nienależące do uniwersytetu. Liczba zgromadzonych była niewielka, uznali zatem za właściwsze opuścić ogród, wydając ogłuszające świsty. Przy tej sposobności aresztowany został i oddany w ręce policyi hałaśliwy awanturnik, który oświadczył, że jest uczniem szkoły muzycznej Szostakowskiego. Po ukończeniu lekcyi na ulicy Dołgorukowskiej zebrał się tłum znaczny, lecz rozszedł się na wezwanie policyanta. Jeden ze stróżów słyszał, jak mu się zdawało, wpośród tłumu głosy: „O 7-ej zburzymy uniwersytet." Okazało się następnie, iż miano na oku nie uniwersytet, tylko drukarnię uniwersytecką. O godzinie 8-ej wieczorem na bulwarze Strastnym, naprzeciw drukarni uniwersyteckiej, zebrała się liczna gromada śpiewająca pieśni i hałasująca. Policya i konni żandarmi otoczyli całą gromadę i w komplecie odprowadzili ją do domu wysyłki zesłańców (peresylnyj zamok). Na miejscu znaleziono około czterdziestu kamieni, kilka kastetów i wag od zegarów, porzuconych przez awanturników, oraz proklamacye w pięciu rozmaitych wydaniach, odnoszące się wyłącznie do nieporządków kijowskich. Policya działała tak szybko i stanowczo, że tłum nie zdołał uszkodzić domu mieszczącego drukarnię i nie mógł stawić oporu. Wszystkich aresztowanych jest 110, w tej liczbie 66-ciu studentów uniwersytetu moskiewskiego, 1 były student uniwersytetu petersburskiego, 2 wykluczonych z uniwersytetu moskiewskiego za niedostateczny postęp w naukach, 1 farmaceuta, pomocnik aptekarski, 5 studentów akademii piotrowskiej, 3 drukarzy, 23 ludzi różnych zatrudnień 3 szlachty bez określonego zajęcia, 2 niewiadomego stanu i 2 lokajów. Przesłuchanie aresztowanych wykazało, że głównym kierownikiem nieporządków był student uniwersytetu moskiewskiego Piotr Rożdestwienskij, który, jak stwierdzono, był już wmieszany w sprawę polityczną w r. 1883, lecz łaską Najwyższą został uwolniony od kary. Oprócz wyliczonych powyżej pociągnięto jeszcze do odpowiedzialności 6-ciu studentów, którzy nie brali udziału w nieporządkach, ale są podejrzani o podżeganie. W obrębie uniwersytetu porządek nie był naruszony, przez cały czas zaburzenia odbywały się wykłady, zaś dni następnych rektor i dziekani przemawiali do studentów, wykazując samowolne postępowanie niegodnych ich kolegów, idących na zgubę własną za ludźmi źle myślącymi, niemającymi nic do stracenia i dążącymi tylko do tego, żeby przy każdej sposobności gubić uczącą się młodzież. Studenci sami po lekcyi wyrażali się w tymże duchu i objawiali życzenie, ażeby w uniwersytecie zachowany był zupełny porządek. O rezultatach dalszego dochodzenia doniesionem będzie później."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Mianowania. Zarządzający pocztą gub. warszawskiej p. Polidorow przeniesiony został do gub. liflandzkiej a na jego miejsce stam'ąd przybył p. Swiatskij.

Ograniczono liczbę studentów żydów w Instytucie dróg i mostów na rok bieżący do 5% ogólnej liczby. Tak samo ograniczono kursa dla żydówek studentek w szkole akuszeryi.

Prośby studentów, wolnych słuchaczów i wstępujących do wyższych zakładów naukowych o pozwolenie przejścia do innej szkoły lub o przyjęcie do wyższego zakładu naukowego, podawane być mają nadal do najbliższej władzy szkolnej. W wypadkach tylko wyjątkowych kuratorowie będą obowiązani odwoływać się do ministeryum oświaty.

Uniwersytet. Na prace konkursowe w uniwersytecie warszawskim wyznaczono w r. b. następujące tematy: Wydział historyczno-filologiczny (docent literatury polskiej p. T. Wierzbowskij): 1) Spór literacki pod koniec XVI i w początku XVII stulecia z powodu konfederacyi warszawskiej 1573 r. 2) O pamiętnikach Marchockiego. 3) Szymon Starowolski jako pisarz polityczny. 4) O dyalogach jezuickich. 5) Charakterystyka Wespazyana Kochowskiego jako poety lirycznego. 6) O *Dworzankach* Jana Gawińskiego. 7) Charakterystyka języka poematu *Wojna Chocimska* Wacława Potockiego. Z historyi ludów słowiańskich: 1) Mitologia słowian zachodnich. 2) Walka Bolesława Chrobrego z niemcami. 3) Stosunki czechów, morawian i polaków do w. XII-o. 4) Działalność św. Cyryla i Metodyusza pośrod słowian zachodnich oraz losy liturgii słowiańskiej na Morawach, w Czechach i Polsce. 5) O życiu słowian baltycko-połabskich według kroniki Dytmara. Z historyi starożytnej (prof. Pawiński): O stosunkach dzieł Liwiusza do Polibiusza. Z historyi średniowiecznej (tenże): Skreślić poglądy najnowszych historyków na początek feodalizmu w Europie. Z historyi słowian zachodnich dołączono jeszcze kilka tematów oprócz wyżej wymienionych, mianowicie: 1) O życiu pomorzan, według życiorysu Ottona Bamberskiego. 2) Ustrój państwowy czechów i polaków, według źródeł drukowanych w *Fontes rerum bohem.* (Kronika Kosty i Monumenta Poloniae I). Z językoznawstwa: Porównanie narzeczy polabsko-drewlańskiego i baltycko kaszubskiego. Z historyi powsz. (prof. Karejew). 1) Wewnętrzny ustrój germanów według Tacyta (*De Germania* od YII — XXVII); przetłomaczyć odpowiednie ustępy z Tacyta i szczegółowo określić ten ustrój, opierając się na dziełach: Guizota, Friemana i in. 2) O powstaniu francuskich gmin wiejskich, według Thierrego, Guizota i in. 3) Rozbiór tragedyi Shakespeare'a „Król Lear." Prof. Jezbera, wykładający narzecza słowiańskie: 1) Fonetyczne i gramatyczne odrębności narzecza czeskiego, różniące się od wielkorosyjskiego i polskiego. 2) Rozbiór gramatyczny pieśni weselnych serbów, wydanych przez W. Karadzića. Prof. Grott, prowadzący zajęcia praktyczne z literatur słowiańskich: 1) Franciszek Władysław Czelakowsky i znaczenie jego w historyi narodowego odrodzenia czechów. 2) Styl Flaska z Pardubic i jego *Nowa Rada.* Dwa ostatnie poematy przeznaczono dla studentów III i IV kursu sekcyi historyi literatur słowian zachodnich.

— Na dalsze trzechlecie wybrano w uniwersytecie warsz. następujących dziekanów: Brodowskiego (wydział lekarski), Kasznicę (prawny), Nikickiego (fil. i historyczny). Kadencya dziekana wydz. matematycznego (Wostokow) kończy się w roku przyszłym.

Spółka jedwabnicza nie stała się u nas modną i dlatego mimo wszelkich leków umarła. We wrześniu zwołano ogólne zgromadzenie członków, ale z 800 przybyło tylko 9. Przed kilku dniami zdołano w Resursie obywatelskiej zebrać aż 12. Postanowiono: spółkę zamienić na towarzystwo jedwabnicze i przekazać mu jej majątek (8000 rs. oraz morwy i kokony około rs. 200). Oby było lepiej, a nie... po naszemu.

Koncert na dochód studentów Instytutu rolniczo-leśnego w Puławach odbędzie się jutro (w niedzielę).

H. Modrzejewska przybywa do Warszawy na 15 przedstawień gościnnych.

Wydawnictwo ostatniego tomu dzieł Długosza uległo opóźnieniu skutkiem odkrycia w bibliotece katedry włocławskiej rękopisu tego historyka „Żywoty biskupów włocławskich."

Kongres międzynarodowego stowarzyszenia literackiego, który w Brukseli zjadł masę lodów i cukierków a ubawił się wyśmienicie, wychłostany został przez *G. warsz.*, która—przyznać to jej trzeba — stale wykazywała szkodliwość jego uchwał dla nas. Jak wiadomo czytelnikom, oświadczyliśmy się odrazu przeciwko udziałowi w nim polaków, którzy skrępowani prawami własności literackiej popadliby w niemoc zabójczą. P. Szymanowski, członek tego wędrownego trybunału, długo bałamucił głowy warszawskie sofistyką, wykazującą korzyści z zawieszenia nad literaturą naszą miecza Damoklesa, ale i on już dał pokój obronie złej sprawy.

Muzeum Kopernika w Rzymie zostało już prawie zupełnie przygotowane i w styczniu r. p. będzie otwartem.

Zaprzeczenie. Pp. Naumowicz i Płoszczański, podróżujący obecnie po Rosyi, oświadczyli w *Pet. Wied.*, że przypisywane im wyrażenia o cesarzu austryackim oraz to, jakoby w rozruchach kijowskich widzieli „intrygę polską"—są zmyślone.

Także logika. Konduktor nie pozwolił roznosicielom gazet wskakiwać do tramwajów. Upomniany za to, tłomaczył się, że „taki jest rozkaz." Skutkiem tego *Kur. warsz.* powiada, że ów konduktor „za podobną *samowolę* na surowe zasługuje skarcenie." Więc oficyalista, który wypełnia „rozkaz" zarządu, postępuje „samowolnie" i winien być karany. No, no.

Bałuckiemu literaci warszawscy z powodu jego jubileuszu ofiarowali album.

Na cześć Montefiorego, z powodu setnej rocznicy jego urodzin, żydzi wybijają złoty medal. Warszawscy poślą mu album.

Prasa angielska. Znane *Ilustr. London News* wychodzić będą w Londynie i New-Yorku.

Straszny orkan nawiedził Katanię i jej okolice. Domy zburzone w długim promieniu, wielu ludzi rannych i zabitych.

Niedostatek prawodawczy widzi *Dn. warsz.* w uwalnianiu żydów od religijnego obchodu dni galowych. Zdaniem tego pisma, rząd powinien w tej sprawie wystąpić a „oświeceni izraelici z pewnością by go poparli."

Zbiór ubiorów wojska polskiego z czasów ks. Konstantego wystawiono w Zbrojowni Niemiec. Zbiór ma być kompletny.

Zakład Dwaj niemcy—jak donosi *Kur. warsz.*—założyli się o to, czego Bismark więcej pije: piwa, czy wina—i wysłali odpowiednie zapytanie. Sekretarz kanclerza odpowiedział im, że książe zarówno lubi jedno i drugie.

Malarstwo. Matejko wystawił w Krakowie najnowszy swój obraz „Jan Zamojski pod Byczyną."

Czytelnia akademicka w Krakowie została przez namiestnictwo rozwiązaną. Naturalnie młodzież założy nowe stowarzyszenie.

Teatr. Odegrano: *Sprzymierzeńców*, komedyę Moreau i *Podróżomanię* Korzeniowskiego. Pierwsza sztuka jest pomysłową i zgrabną robotą francuską, druga zakurzoną starzyzną.

— W operze warszawskiej występuje Ella Russel — bez głosu.

Nowe biskupstwo grecko-katolickie w Stanisławowie (w Galicyi) obejmować będzie 441 mil kw. przestrzeni z 731,000 dusz.

Nauka hygieny. Biskup Zadaru wniósł do austr. ministeryum oświaty podanie o zaprowadzenie w seminaryach duchownych wykładów hygieny wraz z nauką o pierwszej pomocy lekarskiej w nagłych wypadkach. Nie potrzeba, zdaje się, motywować tego żądania, które w Galicyi stawiają oddawna współpracownik *N. Reformy*, dr. Lutostański i redaktor *Przewodnika gimnastycznego*, dr. Żuliński. Zjazdy przyrodników polskich we Lwowie i Krakowie domagały się również zaprowadzenia wykładów hygieny w seminaryach duchownych i nauczycielskich.

„Alliance israelite" wiedeńska zawiadomiła prezesa zboru izraelickiego we Lwowie, że uchwaliła wyznaczyć 25 stypendyów po 100 zlr. rocznie młodzieży *polskiej* wyznania *mojżeszowego* w Galicyi. Tymczasowo złożono 10,000 zlr. na przeciąg 4 lat po 2500 zlr. Stypendya te przeznaczone są dla młodzieży *rzemieślniczej* — 5 dla Lwowa, 20 dla miast prowincyonalnych.

Teatr poznański. Na walnem zebraniu Spółki akcyjnej teatru polskiego w Poznaniu skonstatowano i tego

roku, że stan interesów, jakkolwiek jest lepszym, nie jest jeszcze zadawalającym. Dochody wynoszą 10,000 marek, wydatki 13,946, a więc brak 3,846 m., pomimo że Spółka cofnęła subwencyę, udzielaną dyrekcyi w sumie 4000 m. Dyrekcya otrzymuje natomiast procent od funduszu żelaznego. Scena od 1 października z. r. prowadzoną jest na rachunek Spółki. Dyrekcyę sceny oddano p. Dobrowolskiemu, redaktorowi *Dziennika pozn.*, stronę finansową dr. Kusztelanowi. Z odegranych sztuk było 2/3 polskich, 1/3 obcych.

„Koło literacko-artystyczne“ we Lwowie wybrało prezesem (w miejsce chorego Pilata) dr. Tadeusza Rutowskiego, zastępcą przewodniczącego Romualda Starkla, sekretarzem—Bełzę.

Zapis. Zmarły d. 2 paźdz. w Czerniowcach Ignacy Ohanowicz przeznaczył 30,000 na utrzymanie stypendyów dla biednych uczniów gimnazyalnych w Brzeżanach, Stanisławowie i Kołomyi, administracyę funduszu powierzając wydziałowi krajowemu. Zmarły był z rodu chorwatem (Ohanović).

Geografia. Wyszedł niedawno tom X wielkiego wydawnictwa p. t. *Die Laender Oesterreich-Ungarn in Wort und Bild*, zawierający opis Galicyi i Bukowiny przez prof. Jandaurka. Rzecz cała podzielona jest na historyczną, etnograficzną i topograficzną a ozdobiona licznymi drzeworytami.

Prof. Maks. Nowicki zyskał wielkie uznanie na międzynarodowej konferencyi rybackiej w Wiedniu odczytem „O źródłowiskach Wisły“ i rozmaitymi przyrządami rybackimi. Powszechną uwagę zwróciła na siebie t. z. „przepławka Nowickiego („Novicki'sche Wehr“), używana na Popradzie i z równie pomyślnym skutkiem zastosowana na górskich potokach w Niemczech, Anglii i Stanach Zjedn. Liczne firmy zagraniczne poczyniły u niego zamówienia.

Wychodźtwo do Ameryki. Do końca lipca b. r. wywędrowało z cesarstwa niemieckiego 100,799 osób. Największe stosunkowo cyfry przypadają na prowincye polskie. Z Poznańskiego wysiedliło się 11,073, z Prus zachodnich 11,044 osób. Klęską tą dotknięta jest w pierwszym rzędzie okolica nadnotecka. A opuszczają kraj nietylko biedni, ale i zamożniejsi włościanie.

Zmarli: Kodym Filip Stanisław, dr. medycyny, jeden z pierwszych budzicieli narodu czeskiego, autor wielu dzieł gospodarskich i redaktor *Hospodarskych novin* — w Szarce (w Czechach), w 74 roku życia.

— K. Hildebrand, literat niemiecki, autor *Historyi Francyi od r. 1850 — 70*. Pisywał po niemiecku, francusku i angielsku.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Płomieńczykowi w M. Nie zgadzamy się ani z wywodem moralnym, ani z oburzeniem Waszem, szan. panie, i dlatego korespondencyi nie pomieszczamy. Trzeba rozumować konsekwentnie. Jeżeli zmarły nie spełniał powinności religijnych za życia, t. j. sam wyłączał się z Kościoła, ksiądz ze swego stanowiska miał zupełne prawo odmówić mu pogrzebu religijnego. Proboszcz postąpił logicznie a nielogicznie postępują ci, którzy w imieniu nieboszczyków niepobożnych domagają się się dla nich po śmierci ceremonij pobożnych. Czy szan. pan wziąłbyś za złe dowódcy, odmawiającego honorów wojskowych przy pogrzebie oficerowi, który z pułku wystąpił i łączność z nim zerwał? Albo starosta, albo kapucyn, ale nigdy starosta w habicie.

P. Zygm. Horod. w Koroczy. Wysłano. Sprawozdanie damy. Książka Nordaua wstępu nie ma.

P. W Rekanowi w Symferopolu. Wydawnictwo było dopiero rozpoczęte a przedstawiało pewną rękojmię, że będzie wykonane należycie. Istnieje drugi słownik, obszerniejszy, angielsko - polski i polsko - angielski A. Chodźki.

P. M. Chądzyńskiemu w Kijowie. Bez przerwy posyłamy. upomnimy się na poczcie.

P. Win. Lutosł. w Dorpacie. Odebraliśmy, nie tom II, ale III, który nam nie jest potrzebny.

P. Lud. Margul. w Tejkowie. Ktoś przedtem za pana opłacił; nadesłane zaś pieniądze zapisujemy na kwartał następny.

J. R. stud. Literatura w tym przedmiocie bardzo bogata. Prace zasadnicze: Schopenhauer *Die beiden Grundprob. d. Etik*, J. C. Fischer *Die Freih. d. menschl. Willens.* Po polsku pisał Ochorowicz *O wolności woli*, w ostatnich czasach przełożono G. Renarda *Czy człowiek ma wolną wolę?* (Warszawa, nakład *Wędrowca*). Naturalnie w dziełach: Baina, Spencera, Wundta znajdzie Pan gruntowne objaśnienia.

P. W. Łom. Nie dla nas.

PP. H. i Cz. Odpowiedź listowna w Administracyi *Prawdy*.

P. Miecz. Woj. w Deraźnie. Najregularniej pismo wysyłamy pod dobrym adresem. Dodawanie gubernii jest zbytecznem, gdyż na kopercie wskazany jest trakt (I) i stacya (8), co dla poczty jest oznaczeniem dokładniejszem. Szczuczyn łomżyński ma trakt II, stacyę 74.

P. K. w Niżnym Tagile. Za 10 egz. *Na pomoc* należy nam się porto kop. 47.

P. N. w Mironówce. Za 3 egz. *Na pomoc* z przesyłką należy nam się rs. 1 k. 92.

X. X. Dobrze — ale prosimy zarówno *Etykę* jak *Prawdę* odbierać w Administracyi naszej lub wskazać adres.

0/0 Nie zrozumieliśmy — a przedewszystkiem, kto są owe „skarżące się robaki.“ Tłomaczeń—nie.

OFIARY.

Na wpis dla niezamożnych uczniów rs. 10, złożonych przez osobę, która w ten sposób chciała zrównoważyć wydatek nieusprawiedliwiony pięciu rubli na cukierki. Pieszko z Szargoroda rs. 1 k. 40, M. kop. 50.

Na powodzian Potocki z Mińsk. gub. k. 50.

Dla studentek polek w Petersburgu. Xy. zebrane w Płocku rs. 6, Janiszewski z Koniół kop. 52.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Октября 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.